



Zamach na całą ludzkość

Papież Jan Paweł II został poważnie ranny przez tureckiego terrorystę fanatyka religijnego. Zamachu dokonano 13 bm. o godz. 17.17 na placu Świętego Piotra w Rzymie, w czasie cotygodniowej audyencji ogólnej, która, przy ciepłej wiosennej pogodzie zgromadziła kilkudziesięciotysięczny tłum pielgrzymów i turystów z wielu krajów świata, również z Polski.

DEPESZA PRZYWÓDCÓW POLSKICH

JEGO ŚWIĄTOBLIWOŚĆ JAN PAWEŁ II
WATYKAN

Więść o zbrodniczym zamachu na życie Waszej Świątobliwości głęboko poruszyła nasz naród i władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W tej ciężkiej chwili stęmy z oczyszczonego kraju Waszej Świątobliwości życzenia szybkiego powrotu do sił niezbędnych dla pełnienia posłannictwa w służbie humanistycznych idei pokoju i dobrej ludzkości.

STANISŁAW KANIA
HENRYK JABŁONSKI
WOJCIECH JARUZELSKI

OPINIE

Idea godności ludzkiej tak bardzo w naszych czasach narażona, rzeczywistość znalazła w osobie Jana Pawła II swój znakomity wyraz, jednoczący ludzi, którzy tej godności poszukiwali. Ogólnostanowiwy charakter tej idei ma również swoją drugą stronę: zaczął mobilizować także margines polityczny i społeczny, margines słabiej przestępczości, który w ten sposób się uwzględnił. Wszyscy na świecie, choć mówią róż-

nymi językami, wyrażają swój wstrząs w podobnych słowach. To świadczy o podobnych uczuciach.

(prof. Stanisław Grodzki — UJ)

Jeśli brak jest miłości, jeśli jest coraz więcej nienawiści, to dochodzi do sytuacji, gdy przekazujący miłość, ci, którzy głoszą miłość jako wartość naczelną, są niszczeni.

(anonimowy mieszkaniec Warszawy)

Papież Jan Paweł II był dla wszystkich symbolem pokoju. Zamach na Ojca Świętego jest — jak stwierdza wielu szefów państw — zamachem na całą ludzkość.

(Grzegorz Woźniak — TV)

Odebrałem ten zamach jako zamach na te wartości, które są związane z naszą historią, naszą kulturą i tradycją: na tolerancję i braterstwo między narodami.

(Jerzy Ambroziewicz — TV)

Myszę, że aby zrozumieć to, co się stało, trzeba zobaczyć Karola Wojtyłę w świetle książki, która go stworzyła: w świetle Ewangelii. Jest tragiczne, że są pewne prawdy proste, które stają się dopiero wtedy dla wszystkich oczywiste, kiedy są podpisane krwią. Prawdą znaną od wieków jest: nie zabijaj; ale trzeba to podpisać krwią, żeby stała się oczywista.

Kto to zrobił? Dlaczego? Słyszeliśmy to pytanie rannego Papieża. Na pewno też zacytuje — o ile jeszcze nie zacytował — inne słowa z tej samej książki: przebac, bo nie wie, co czyni. Zło jest banalne, bo zło nie wie, co czyni.

Czuje, rnam nadzieję, że Papież wróci. I że wróci taki sam. Ale wróci do świata, który już nie będzie taki sam. Który będzie wiedział, że pewne prawdy są oczywiste, niż były kiedyś. (ksiądz prof. Józef Tischner)

Piątek, ósmy dzień maja. Tli się budynek milicji w Otwocku. Wieczorem pokażą to w telewizji i zaczniemy rozważać, czy idzie o lokalny incydent, czy o coś więcej. W Sączu życie biegnie powodziowym rytmem: w sklepach sprzedają po jednym bochenku chleba, na przystanku autobusowym tonącym w śmieciach wyrostki klną jak szewcy, Rajmund Jaroż, aktor Starego Teatru, chodzi od Annasza do Kajfasza, żeby wreszcie znaleźć zrozumienie, dla idei wyeliminowania motorówek z jeziora Rożnowskiego, Andrzej Jazowski, pedagog i pisarz, przyjechał z Orawy, żeby w urzędach wojewódzkich poszukać sprawiedliwości, „Solidarność” negocjuje z komisją roboczą z Warszawy, Jalu Kurek przysłał mi piękny wiersz o matce, a koleżanka twierdzi, że w powietrzu wisi coś niedobrego. Dopiero po chwili przyswajam, że ona nie mówi o pogodzie...

Blednie to wszystko, gdy pomyślę o dyblamatach, jakie rozstrzygnąć musi rząd i nasi przyjaciele. Skiełbity się, skotlowały sprawy wielkie i drobniej. Długi zagraniczne i fala ordynarynych rozbojów, plot, który jest kością niezgody i ordynacja wyborcza, powrót Baluki i miedza, która dzieli sąsiadów bardziej niż chiński mur. Gęsto od swarów, oskarżeń i niecierpliwości. Faceti siedzący na dwóch stołkach: panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. Faceti nawiedzeni nagle w maju przez ducha odnowy: pod nowym sztandarem po stołki, których nie udało się zdobyć uprzednio pod innym sztandarem.

Ze przecucia nachodzą człowieka, gdy zobaczy, jak małe, średnie i wielkie pretensje kumulowane latami, parują teraz monstrualną nieczytelnością. Czysci i podli, prawi i gnidowaci — uwikłani w zwarcie, jak bokserzy w ostatniej rundzie. O co idzie naprawdę? Żeby się wypełnił rachunek krzywy?

ADAM OGORZAŁEK

*Pisarze
w pośpiechu*

Żeby dojść do prawdy? Czy na pewno dzieli skłóconych tylko przeszłość?

Henryk Kostecki, który w kwietniu postanowił nie ubiegać się o ponowny wybór na I sekretarza KW, znużony wielotygodniową szarpaniną, uczestniczy w zebraniu członków partii w ZNTK. Podobnie jak wcześniej w Nowym Targu, Zakopanem, czy Gorlicach — i tu wylewa się z ludzi morze żołą. Niektórzy uczestnicy tego spotkania powiedzą później, że nie wszystkie karty, którymi zagrano były czyste. Ale Henryk Kostecki podziękował wszystkim, że otwarcie skoczyli mu do oczu. Bierze odpowiedzialność za to, co robił. Nie zgadza się natomiast z uogólnieniami czynionymi pochopnie: łatwo powiedzieć, że Nowy Sącz nie wzbogacił się za wojewódzkich czasów w obiekty użyteczności publicznej, ale to samo mówią przecież w Zakopanem czy Nowym Targu. Po prostu — od roku 1975 niełatwo było o nowe inwestycje. Łatwo ubolewać, że służba zdrowia została zaniedbana. Ale czy u nas w jakikolwiek sposób? Zyskałszy przecież dwa szpitale, kilkanaście ośrodków zdrowia, żłobki, przedszkola. Łatwo mówić o nadużyciach, gdy twie sprawi i ludzi odsłoniło oblicze. Ale czy mamy jakieś afery o takiej

skali jak w innych regionach? Czy wystawiliśmy sobie jakieś luksusowe obiekty?

Dyskutanci mówią: — Wy osobiście nie kradliście, to prawda. Ale czemu działali się nieprawości czynione przez innych? Dlaczego tak kiepska była informacja wewnątrzpartijna? Czemu „Solidarność” operatywniej rozlicza winnych niż Komisja Kontroli Partyjnej? Dlaczego reżyserowano dyskusje i różne spotkania? Czemu przywożono działaczy z zewnątrz?

Jest tych pytań więcej. Nie różnią się od innych, stawianych w tej chwili w całej Polsce. Henryk Kostecki bierze na siebie swoją część odpowiedzialności. Ale tylko swoją część. Nie dopuścił przecież w czerwcu 1976 roku do realizacji aroganckiej decyzji Jaroszewicza, by zamknąć kombinat obuwniczy. Zrobił wszystko, żeby w styczniu bieżącego roku nie zdarzyło się w sądeckim Ratuszu to, co stało się w marcu w Bydgoszczy. Mówi: Odpowiadam za wiele, ale nie za wszystko. To, co dziś usłyszałem, jest moim życiowym dramatem. Nie spodziewałem się tak drastycznych głosów.

Władysław Ziembowicz skomentuje całą sprawę następująco: — Sądźmy ludzi uczciwie! Czy to nie jest roz-

grywka personalna? Czy mamy się żreć między sobą, czy raczej uczciwie i sprawiedliwie wyważyć winy?

I sekretarz KW wyjaśnia, przypomina, ale widać, że postanowienia nie cofnie: chce wrócić do swojego zawodu, uważa, iż dwie kadencje sekretarzowania wystarczą... Poinformował już o swoim zamiśle Komitet Centralny. Ma prawo liczyć na obiektywną ocenę tego, co wniósł tutaj z sobą, co zrobił i czego zrobić nie pozwolił.

A gdy emocje opadną, popatrzymy pewnie na ostatnie siedem lat gruntownie. Nie tylko w Sączu. Dziś wszystko wydaje się albo czarne, albo białe. Ale daltonizm minie nawet u ludzi cierpiących dziś na poważne defekty wzroku.

Plonie budynek w Otwocku; znerwicowani słyszą tylko to, co chcieliby usłyszeć; znowu dają się manipulować intrzygantom o chorych ambicjach. Płoną głowy. Spróbujesz studiować — toś parszysza owca. Przemilczysz, nie spróbusz jawnych bzdur — pozostaniesz z wyrzutami sumienia.

Jest taki czas, iż kłamstwo obiegne połowę miasta, zanim prawda włoży buty. Trzeba jej zatem pomagać. Za każdą cenę. Nawet za cenę chwilowej niepopularności.

Posłuchajmy Norwida:

Goręco nie wiesz, czy stawasz się wolny,

Czy to, co twoje, ma być zatraczone?

Czy popiół tylko zostanie i zamęt,

Co idzie w przepaść z burzą? —

Czy zostanie

Na dnie popiołu gwiazdzisty dyament,
Wiekusiego zwycięstwa zaranie.

* PANORAMA REGIONU *

LIMANOWA

— Być bohaterem jednego zrywów — mówi naczelnik Jan Kubowicz — jest łatwo, o wiele trudniej ciągle zajmować wysoką pozycję. Pracowaliśmy na ten sukces wspólnie: społeczeństwo i władza, i nie myślimy tak łatwo oddawać palec. Przypominam sobie, jak po zdobyciu przez nas w 1971 roku tytułu krajowego wicemistrza gospodarności, a w 1972 — Mistrza Gospodarności, niektórzy mówili: „No to już się chyba zmęczymy”. Nie poddał się i po czterech latach, w 1976 roku, uzyskali tytuł wicemistrza po raz drugi. Zresztą, co będziemy opowiadać; proszę, przejdźmy do sali konferencyjnej, tam są wszystkie nasze dyplomy i odznaczenia.

I rzeczywiście, całe ściany w dyplomach i to zarówno dla miasta, jak i dla gminy (przypominam, że w tym roku gmina limanowska zajęła czwarte miejsce w konkursie „Gmina — mistrz gospodarności”). Na czołowym miejscu Order Sztandaru Pracy II Klasy nadany przez Radę Państwa w 1977 roku. Limanowa, jako pierwsze miasto w Polsce otrzymała to odznaczenie za — jak mówi Czesław Bogacz — wytrwałą działalność w konkursie mistrzów gospodarności.

— Konkurs był i jest dla nas przede wszystkim czynnikiem integrującym społeczeństwo — stwierdził przewodniczący Rady Narodowej — ludzie zrozumieć, że nie im nie przyjdzie z narzekania, a uprość precyzję — że trzeba zakasać rękawy i robić coś dla siebie. Oczywiście nie zawsze wszyscy są zadowoleni. Pamiętam, robiliśmy rynek, a inni narzekali: „Tak wy sobie tutaj rynekczek urządźcie, a u nas drogi złe; w żaden sposób nie można dojechać z doktorem czy księdzem”.

Nigdy nie pichciliśmy planów w Urzędzie. Organizowano zebrania w gminie i w mieście, na których ludzie mówili, co ich zdaniem należy zrobić. To nie naczelnik wychodził z gotowym planem, ale społeczeństwo, myślimy co najwyżej tłumaczyli: to się da zrobić, a z tym trzeba jeszcze poczekać. Albo weźmy takie czyny społeczne. My mieliśmy własną koncepcję: zacyzyliśmy kilka dni wcześniej, a w dniu wyznaczonym na czyn były już tylko prace ukończeniowe, kosmetyczne. Ludzie szli na spacer, a dzieci mówiły: „Patrz, to mój tatuś robił ten chodnik”.

— Największe trudności — włączył się do rozmowy naczelnik — mamy z zabezpieczeniem materiałów. Często ludzie są przygotowani, chcieliby coś zrobić, a tu brakuje, dajmy na to, rur do wodociągów, krawężników czy na wet... kilograma cementu. Oczywiście, jak możemy staramy się pewne rzeczy załatwiać, przede wszystkim dzięki codziennej lekturze przetargów, jakie ogłaszają przedsiębiorstwa. Ale tak ogólnie, z materiałem mamy kłopoty. Za to ludzie mamy dobrych; chcą pracować. Nie można ich jednak zepsuć, pozwolić, żeby siedli na laurach, poprzeczka trzeba stale podnosić do góry. Najważniejsze, żeby się nie zagapić i nie pozostać w tyle.

W „mistrzowskim” dorobku Limanowej są m. in.: basen kąpielowy, ośrodek sportowo-wypoczynkowy, wyciągi narciarskie, dworzec PKS, pawilon handlowo-gastronomiczny, drewnianyjazd turystyczny, parkingi, tereny zielone, żłobek, budynek socjalny RPGK. Wypada więc życzyć władzom i społeczeństwu miasta jednego: oby tak dalej...

DANUTA BINEK

W szczawnickiej bibliotece

Biblioteka Miejska w Szczawnicy, której od listopada „dyrektorem” jest Maria Słowik, zdumiewa stałych czytelników swym odnowionym wnętrzem. Po długich bojach udało się bowiem wywalczyć jeszcze jedno pomieszczenie, a wyburzenie ściany między dwoma maleńkimi pokojkami pozwoliło na urządzenie ładnej, przystępnej czytelni. Jednocześnie — może w ramach swoistego „funduszu wspierania młodych kadr kierowniczych” — Biblioteka Wojewódzka obdarowała szczawnicką nowymi pięknymi regałami, dzięki którym zrobiło się trochę jaśniej i przestronniej.

Nie oszukujmy się jednak — żadne półśrodki w postaci dodatkowej izdebki czy nowych regałów nie rozwiązują istotnych problemów biblioteki, z któ-

rych najważniejszym jest brak pomieszczeń odpowiadających potrzebom tego typu placówki służby społecznej w miejscowości liczącej kilka tysięcy stałych mieszkańców, mającej kilka szkół, zalegających swym uczniom lektury, a przy tym w miejscowości uzdrowsko-rekreacyjnej, do której przyjeżdżają tysiące ludzi mających wiele czasu i pragnących odczekać całoroczne zaległości czytelnicze.

Przed rokiem naczelnik miasta robił nadzieje na nowy lokal dla biblioteki. Jednakże rozdział Szczawnicy i Krośnice te nadzieje niweczy. Kiedy więc spełnia się wieloletnie oczekiwanie pań bibliotekarek i czytelników — nie wiadomo.

(elg)

Położona malowniczo w Beskidzie Wyspowym, u stóp Lubogoszcy, w widłach Mszanki i Raby. Prawa miejskie otrzymała w 1952 roku.

Choć nie jest miastem ani największym, ani najgłośniejszym reklamującym się w województwie, stanowi ośrodek w naszym regionie znaczący.

Może — na początek — przemysły. Był sobie w Mszanie tartak. Oprócz desek na lokalne potrzeby produkował podkłady kolejowe, taczki i drążki do łopaty. Czyli nie skomplikowanego.

Trzeba było wyobraźni i samozaparcia, aby tartak — jakich wiele — przekształcić w pierwszą i jak dotąd najlepszą w kraju spółdzielnię pracy „Meblomet”.

MSZANA DOLNA

Tadeusz Kwiciński, wiceprezes, informuje, że połowa eksportu spółdzielni zrzeszonych w Krajowym Związku Spółdzielni Meblarskich pochodzi z Mszany Dolnej. Związek Radziecki od kilku lat zamawia w „Meblomet” kompletne wyposażenia wnętrz. W ubiegłym roku spółdzielnia sprzedała wyroby za 305 milionów złotych. Jako nowość wprowadzono produkcję tapicerki do „fiata 126p”.



Zakładowa „Solidarność”, na czele której stoi technolog-drzewiarz, Kazimierz Gruel, zgłosiła postulaty dotyczące organizacji pracy, spraw płacowych i socjalnych. — Czekamy — mówi Gruel — na budowę kotłowni, modernizację lakierni, która jest straszliwie zanieczyszczona. Przydałby się także większy dom socjalny i dodatkowe magazyny...

Naczelnik miasta i gminy, Czesław Liszka, odpowiada: — Nie widzę potrzeby powoływania nowych zakładów. Trzeba modernizować i doskonalić już istniejące. Oprócz „Meblometu” i zakładu „INCO” wytwarzającego tarcze ścierne — pozostałe, raczej niewielkie, też nie są obciążone dla odbiorców, na przykład wytwórnia octu, winiarnia i wafłarnia.

Bardzo trudna jest w Mszanie Dolnej sytuacja mieszkaniowa. W kolekcję spółdzielczą oczekuje czterysta osób. W ubiegłym roku oddano do użytku blok,

w którym zamieszkało trzydzieści rodzin. Poprzednie mieszkanka spółdzielcze rozdzielono w... 1968 roku. Przez całe lata Mszana należała do spółdzielni w Limanowej, później w Rabce. Czas najwyższy — mówią mieszkańcy Mszany — utworzyć własną spółdzielnię.

Według informacji naczelnika, przed rokiem 1985 nie należy spodziewać się poprawy sytuacji mieszkaniowej. Na przeszkodzie stoi między innymi brak wody. W całym mieście sporo ręcznych pomp, którymi mieszkańcy po staremu czerpią wodę, a potem taszczą wiadernkami na piętra. Wodociąg grupowy z Jordanowa „zatrzymał” się w Rabce-Zarytem. Nadal nie rozwiązana sprawa

pozostaje oczyszczalnia ścieków. Tutęszą stacją pełni systematycznie zanieczyszczona wodociąg miejskie. Codziennie beczkowóz dostarcza wodę pitną do kilkunastu budynków. Obciążona kosztami Spółdzielnia i Mała w Nowym Sączu, dysponent stacji, płaci rocznie 250 tysięcy złotych kar. Okazuje się, że bardziej opłaca się zatruwać wodę, aniżeli ponosić koszty jej oczyszczania.

Brak również wysypiska śmieci. ZBoWiD protestuje, bo wskazany przez naczelnika teren usytuowany jest zbyt blisko miejsca pamięci narodowej. Mszana oczekuje więc na decyzję Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu.

Naczelnik upatruje szansę w turystyce. Są atrakcyjne okolice, ludność może dużo zyskać na przyjmowaniu przyjeżdżających. W pobliżu rzeki, wciąż oczekującej na regulację, wybudowano w czynie społecznym ośrodek sportowy z boiskiem do siatkówki, koszykówki i piłki ręcznej, pełnowymiarowy stadion z trybunami, korty tenisowe, tor tartanowy dla narciarzy trenujących na narto-rolkach. Zakonczono budowę ścieżek spacerowych w parku, placu zabaw dla dzieci, nowych zieleni i skwerów, dróg do pól i osiedli. W tym bezinteresownym wysiłku społecznym należy dopatrywać się tegorocznego sukcesu: drugiego miejsca w konkursie „Miasto — mistrz gospodarności”.

Gospodarce miasta chcą przełamać kompleks Kopciuszka. ubogiego krewnej sławnej, lecz — jak mówi — zachłannej Limanowej. Od wielu lat ułatwuje władze zabiegając o utworzenie samodzielnej przedsiębiorstwa turystycznego. Podają argument: 70 procent obrotów handlowych limanowskiej „Śnieżnicy” przypada na Mszanę Dolną, a całością zysków dysponuje Limanowa.

JERZY LEŚNIAK



Póki dziki śledzą w takim bukowym lesie, typowym dla Beskidu Niskiego, wszyscy są zadowoleni; ale gdy zaczną szukać pożywienia...

FOT. MIECZYSLAW STASZEWSKI

Łosie contra dziki i jelenie

Otrzymałmy z Łosia list: „My mieszkańcy wsi Łosie Gmina Uście Gorlickie też należymy do woj. Nowy Sącz.

Zapraszamy do nas na rozmowy z rolnikami w naszej wiosce.

Temat rozmowy, o zwierzynie leśnej, która nam wyrządza szkody.

O Bieszczadach ktoś pomyślał i napisał, a o nas nikt”.

List, wysłany 17 kwietnia, jest anonimowy, ale problem wygląda przecieć na istotny. Trzeba sprawdzić.

Jadę do nadleśnictwa, które mieści się właśnie w Łosiu. Co za zbieg okoliczności: zastaje nadleśniczego właśnie nad protokołami ze szkód rolnych, spowodowanych przez zwierzynę. Ile tych protokołów? Il zarejestrowanych i zgłoszonych ostatnio. Jakos mało? — mówię. — Nadleśniczy uświadamia mi, że to najpóźniej naturalne; szkody są wyrządzane przez dziki dopiero po wejściu pędów ziemniaczanych, zaś przez zwierzynę plową — dopiero wtedy, gdy pędy zbóż mają wyraźnie wykształcony stożek wzrostu (jesli jelenie ułną zębami tylko pierwsze kielkujące listki, nie szkodzą to jeszcze roślinie), oraz w późniejszej fazie, gdy po przekwitnięciu pojawiają się w kłosach młecznę zawiązkła ziarna. Zatem — szkody zaczynają się dopiero późną wiosną i wczesnym latem.

A czy wśród tych szkód protoko-

łów są jakieś z Łosia lub Wysowej i Blechnarki, gdzie również słyszałem o dużych szkodach na polach? Nie, nie ma ani jednego.

Odwiedzam sołtysa. Nie wie, kto mógł napisać list. Szkody? Tak, potwierdza, że ostatniej jesieni były bardzo duże, a rolnicy są mocno niezadowoleni z odszkodowań: normy i wyceeny nie nadążają za rzeczywistą wartością zniszczonych upraw. Poza tym, przecieć to są straty dla wszystkich i serce boli, gdy się marnuje plon. Jedyny sposób — to grodzić pola żerdziami tak, aby zwierzyna nie wtargnęła na nie od strony lasu. Sytuacja zmusiła w końcu wszystkich rozsądnych do takich zabiegów.

Nadleśniczy poinformował mnie, że stan zwierzyny w jego rejonie w tym nie jest wysoki; trudno zatem przewidywać warunki w okolicach Łosia do tych bieszczadzkich, gdzie ostatnio lasy były przepelnione dzikami. Z drugiej strony, sprawa odszkodowań musi być w bliskim czasie należyte rozpatrzone — tak, aby były one naprawdę miarodajne.

Przypuszczamy, że rolnicy z Łosia poinformują nas, czy nastąpią zadowalające ich zmiany. Prosimy jednak, aby nie była to wiadomość anonimowa; jeśli mamy rozmawiać, musimy wiedzieć, z kim.

ADAM GABICZ

* PANORAMA REGIONU *

W Międzynarodowym Roku Inwalidy

Mineło dwadzieścia lat od chwili, gdy Zrzeszenie Sportowe Spółdzielczości Pracy „Start” podjęło się organizacji sportu inwalidzkiego. W tym celu przy spółdzielniach inwalidów powołano koła sportowo-turystyczne, które postawiły głównie na sport, rekreację i reha-

W bieżącym roku, który został ogłoszony Światowym Rokiem Inwalidy, ZSSP „Start” postanowiło szczególnie zadbać o zwiększenie udziału spółdzielców inwalidów w zajęciach sportowych, a także zapewnić im aktywny wypoczynek w dni wolne od pracy. „Start” przewiduje w związku z tym bogaty program: nie ma miesiąca, w którym nie zaplanowano imprezy dla inwalidów. Są to zawody narciarskie, turnieje piłki siatkowej, tenis stołowy, zawody pływackie, spływy kajakowe, rajdy.

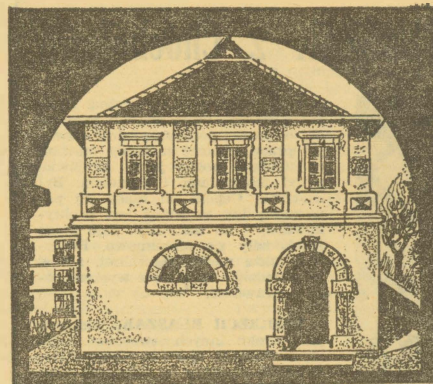
Cały problem w tym, że realizacja owego programu nie zależy wyłącznie od działaczy ZSSP „Start”, ale przede wszystkim od dobrej woli prezesów spółdzielni inwalidzkich, od ich współpracy z kołami sportowo-turystycznymi „Start”. Pozytywnymi przykładami takiej współpracy są m. in. Spółdzielnia Inwalidów im. J. Marchlewskiego w Nowym Sączu, „Cel” w Gorlicach i „Karpaty” w Grybowie. Bardzo ważne jest także rozpropagowanie tego typu imprez wśród spółdzielców inwalidów — pole do popisu dla specjalistów ds. rehabilitacji.

(D.B.)



bilitację ludzi niepełnosprawnych. Ponadto w każdej z tych spółdzielni został zatrudniony specjalista ds. rehabilitacji.

Mimo znacznych osiągnięć, jakie przez ten czas zanotowali na swoim koncie sportowcy inwalidzi (w naszym województwie mamy takich wielokrotnych medalistów, jak: Józef Jagiela, Danuta Koźlak i Jan Sowiński), ta dziedzina pozostawała w cieniu sportu wyścigowego. A szkoda, bo dla ludzi kalekich sport to nie innego, jak tylko: trochę radości życia, trochę ruchu, rozrywkę, a także — co bardzo ważne — forma rehabilitacji zdrowotnej.



JV Bi lat ka

W Nowym Sączu, kilkadziesiąt metrów od rynku, u zbiegu ulic Kazimierza Wielkiego i Franciszkańskiej wznosi się orestaurowana przed kilkoma laty zabytkowa osiemnastowieczna „Kamienica Lubomirskich”. To ona właśnie, wraz

z alizując testament ojca przekazał Nowemu Sączowi dziewięć wielkich drewnianych skrzyń wypełnionych książkami. Było 1797 tytułów w 2942 tomach.

Dziesiątki upływających lat oraz dwie wojny światowe spowodowały znaczne spustoszenie w księgozbiorze będącym trzonem bibliotecznego zbiorów. Niemniej do obecnych czasów przetrwało wiele bibliofilskich „białych kruków”, które starannie zabezpieczone i mozolnie konserwowane dokumentują dawne dzieje Polski i Sądeckich. Teraz gdy sądecka biblioteka rozpoczęła uroczyste obchody jubileuszu zorganizowano w niej wystawę najbardziej cennych książek.

Kilka słów o współczesności placówki: w samej tylko centrali pracują dziś 73 osoby; zbiory biblioteczne liczą około 183 tysiące tomów. Z usług bibliotek korzystają dziesiątki tysięcy czytelników.

Biblioteka-jubilatka prowadzi również działalność odczytową i wystawienniczą. M. in. każdego roku w maju organizuje „Sądeckie Dni Literatury”, na które zaprasza wielu znanych pisarzy, poetów, publicystów. Tak jest i w tym roku. W stylowych piwnicach gmachu będącego siedzibą biblioteki miłośnicy bardzo popularna wśród sądecan i gości naszego miasta galeria wystawowa Sądeckiego Towarzystwa Fotograficznego.

STANISŁAW ŚMIERCIAK

Zakopiańskie drobiazgi

Niby drobiazgi... Ale jeśli w takim mieście jak Zakopane, nie bardzo gdzie jest jeszcze śniadanie czy kolacja — to chyba nie jest dobrze?

Jak to! — zakrzyknie ktoś. Są przecież bary mleczne, restauracje, prywatne knajpki.

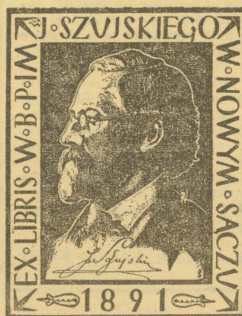
A są, są... Obiad w nich nietrudno dostać, i nawet smaczny, wedle gustu i kieszeni. Ale konia z rzedem temu, kto powie, gdzie poza „Watrą”, „Morskim Okiem” czy innym tej (luksusowej, więc drogiej) klasy lokalem można pójść na skromny posiłek wieczorny po godzinie osiemnastej, a nawet siedemnastej trzydziestej, bo o tej porze właśnie zamyka się bary? Jest jeszcze restauracja w Domu Turysty, ale — po pierwsze — obowiązują w niej ułamek nie turystyczna taksa, a po drugie — tłoczno tam tak, że człowiek woli iść spać na głodno.

I to wszystko.

A już nie daj Boże znaleźć się w Zakopanem w środę po wolnej sobocie (czyli w prawie każdą). Wtedy trzeba odbyć piękny spacer przed śniadaniem, bowiem okazuje się, że bar mleczny przy ulicy Kościuszkowej, „wolne” za użytej wzmianką sobotę, bar nieco powyżej, na Krupówkach odstąpił swój lokal knajpie z dancinngiem i dopiero na rozdrożu, u zbiegu Krupówek i tak zwanych Krupówek B, może coś zgłodniały gość znaleźć do zjedzenia.

Jeśli taki marsz trafi się uczasowiczowi, który po całonocnej jeździe wysiadł zgłodniały z pociągu z ciężką walizką — to rosną nasze szanse olimpijskie. Wszak w ten sposób przygotowujemy (trochę mimo jego woli, to prawda) zawodnika odpornego na stresy i niepowodzenia życiowe.

— Czego więc ja się czepiam?... (elg)



z wzniesioną niedawno dobudówką, jest od lat parę siedzibą Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej noszącej imię Józefa Szujskiego. Jest to jedna z najstarszych bibliotek publicznych w Polsce południowej, licząca dziś 90 lat.

Jej dzieje zaczęły się 25 czerwca 1891 roku kiedy to Władysław Szujski, syn rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego Józefa Szujskiego, re-

Bronię „Janinę”!

polu i przenieśli się do Nowego Sącza. Tak oto powstał pierwszy sądecki zakład fotograficzny. Mistrz Silkiewicz ożenił się z pewną wdową, Janiną Hüpper, i na jej cześć zakład nazwano „Janina”. Początkowo mieścił się na Jagiellońskiej, zaś w roku 1906 Städtnikowie wybudowali dom przy ul. Narutowicza, z przeznaczeniem na komfortowy, nowoczesny salon fotografii, nie ustępujący luksusowym zakładom wiedeńskim czy lwowskim. Na pierwszym piętrze znajdowało się spore atelier ze szklanym dachem i ścianą, wyposażone w secesyjne ekrany, najprzeróżniejsze rekwizyty i wspaniały sprzęt fotograficzny. Od powstania zakładu przechowywano starannie wszystkie negatywy. Zebrało się ich około stu tysięcy. Jeśli więc, Szanowny Czytelniku, Twój dmadunio zrobił sobie w „Janinie” zdjęcie w roku, powiedzmy, 1912, to jeszcze dzisiaj możesz iść pod ten sam adres i zamówić odbitkę. A jeśli Ty sam zapragnąłeś zrobić sobie portrecik z tymi samymi rekwizytami, na tym samym fle — proszę bardzo do usług. Ignacy Städtnik zmarł w roku 1923. Zakład przejął jego syn Witold, obecnie na emeryturze, który wykształcił w rzemiośle fotograficznym swoich synów.

Przez całe stulecie los był łaskawy dla „Janiny”. Zakład nie ucierpiał ani w pierwszej, ani w drugiej wojnie

światowej. Ominęły go pożary i inne kataklizmy, nie obrabowali złodzieje. Jest żywa historia miasta i unikatem na skalę ogólnopolską.

Obecnie zaś grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony złego i potężnego sąsiada — Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu.

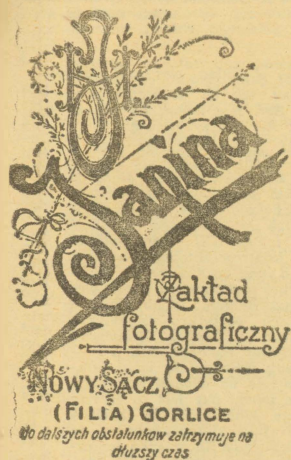
Pewnego dnia zapukał niespodziewanie do Städtników jakiś pan. Przedstawił się jako taksator i zażądał pokazania domu. — A po co? — Bo zostanie wywłaszczony. Wasz dom sąsiaduje z urzędem, więc zostanie przekształcony w biurowiec. Nowych biurowców budować nie wolno, a stare domy remontować wolno, więc przekwaterujemy was do bloków, przeszkadzacie tutaj. — A zakład? — Prezydent da wam gdzieś nowy lokal (prezydent zawiadomił później, że nie da, bo nie ma). Atelier się zburzy, a sprzęt możecie sobie zabrać do nowego mieszkania. — Będziemy się od tej decyzji odwoływać — oznajmili Städtnikowie. — No, to się odwołujcie: od decyzji urzędu, która zapada w interesie tego urzędu, odwołujecie się do tego samego urzędu, proszę bardzo. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Städtnikowie zostali już wywłaszczeni. Zakład wciąż jeszcze istnieje w stanie nienaruszonym, lecz praktycznie w każdej chwili może zostać zdewastowany. Urząd Wojewódzki jeszcze

może nie dopuścić do tak haniebnego postępku. Prosimy więc o odwołanie decyzji, powziętej w imieniu poprzedniego wojewody i poprzedniego prezydenta miasta. Prosimy Wojewodę Nowosądeckiego o honorowe wycofanie się z tej żenującej sprawy. Prosimy o wsparcie dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW, Ireneusza Wrześniana, prosimy Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, Małgorzatę Biedrzon, prosimy dyrektora muzeum, Andrzeja Krupńskiego, prosimy wszystkich: ratujmy „Janinę”, która istniała już wtedy, kiedy nas wszystkich jeszcze w kapucie szukano! Ratujmy zakład unikalny, jeden z najstarszych istniejących w Polsce. Zalatwimy to szybko i najlepiej we własnym gronie, aby nie było potrzeby zabierania głosu w tej sprawie podczas zbliżającego się kongresu kultury albo absorbowania uwagi telewizyjnej i czytelników prasy centralnej.

ANTONI KROH

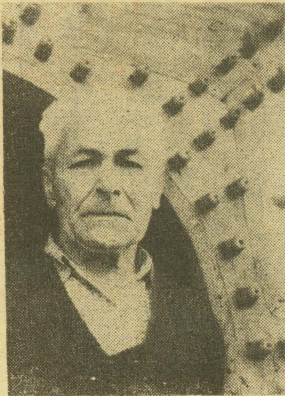
PS. Przyszedł właśnie do mnie towarzysz Tadeusz Szczepanek, obecny dyrektor Muzeum Tatrzańskie, który ma do „Janiny” sentyment szczególny, gdyż tutaj robiono mu w 1937 r. zdjęcie na pamiątkę Pierwszej Komunii św. — więc również błaga o anulowanie wyroku śmierci na ten zasłużony, sącowny zakład.



Historia ta zaczęła się w roku 1854, czyli w piętnaście lat po wynalezieniu fotografii. Pewien pan, nazwiskiem Alfred Silkiewicz, otworzył w mieście Tarnopolu zakład fotograficzny. Pan Silkiewicz miał praktykanta, Ignacego Städtnika. Po pewnym czasie (najprawdopodobniej w latach osiemdziesiątych, czyli mniej więcej sto lat temu) obaj fotografowie zwinęli interes w Tarnopolu.

GALERIA TWÓRCÓW LUDOWYCH

WOJCIECH BLASZAK z Chocholowa



Urodzony w 1896, zmarł w 1974. Przez całe życie mieszkał w Chocholowie. Jeden z tych, dzięki którym sztuka ludowa Podhala nie zaginęła, lecz rozwinęła się, odnajdując swój nowy, współczesny wyraz. W młodości był budownikiem (cieśla) i muzykantem, później także snycerzem, rzeźbiarzem i lutnikiem. Wśród swoich uważany był przede wszystkim za znakomitego prymiste, obcy znali go głównie jako wytwórcę pięknie ryzowanych wyrobów z drewna: lyżników, warzech, półek, listew z „gadzakami” itp. Ciągłemu do ręko pielegnacji dziennikarzy, młodości góralczy, cudzoziemców. Był, można się chyba tak

wyrazić, instytucją kulturalną. Zawieszając gościnny, miły, chętnie opowiadał o dawnej góralczyźnie i o swojej pracy, chociaż nieścisły mawiał, że zbuduje sobie jakąś kryjówkę przed fotografami i telewizją. Był dostawcą Cepeli od czasu jej powstania; jak to wciąż jest praktykowane w tej instytucji, jego prace rozchodzily się anonimowo. Próbowal także rzeźby figuralnej, ale w tej dziedzinie sztuki nie wyszedł poza poprawność.

WOJCIECH BLASZAK, podobnie jak wielu innych twórców ludowych Podhala, sporo zawdzięcza Helenie Sredniawie z Muzeum Tatrzańskiemu. Na przykład za jej namową zaczął robić kopie dawnych instrumentów muzycznych, m. in. fujarek. On też, jako jeden z pierwszych, w połowie lat sześćdziesiątych odszedł od powszechnych już na Podhalu skrzypiec fabrycznych do tradycyjnych, chociaż zmienionych w kształcie, gęśli czyli zióbków. Stosował ornamenty wywołony, nigdy przeładowany — a mimo to jego prace były ogromnie poszukiwane przez Podhalan z Ameryki. Brał udział w kilkudziesięciu konkursach plastyki chłopskiej, z reguły zdobywając czołowe nagrody. Znal się na drewnie jak mało kto, każdy motyw zdobniczy określał gwarową nazwą. Czasami, na zamówienie muzeów, wykonywał tradycyjne narzędzia i sprzęt pasterski, dziś już w dużej części zapomniany.

Niestety, nie przekazał nikomu swej wiedzy.

Tekst i zdjęcie ANTONI KROH

Do pasażerów „Mikrobusu kultury”

Kochani! Jak wiadomo, w ostatnich dniach maja odbędzie się w Nowym Sączu II Kongres Regionalnych Towarzystw Kulturalnych. Przyjedzie czterysta osób z całej Polski. Trzeba ich zakwaterować, wyżywić, zapewnić rozrywkę, nie mówiąc już o sprawnej organizacji obrad. Strasznie dużo z tym roboty, więc Wojewódzki Ośrodek Kultury oddał do biura kongresu jednego ze swych najlepszych pracowników, Wacka Gutowskiego, kapitana naszego mikrobusu. W maju więc wy-

jardy odwołane. Za to w czerwcu miłośników teatru czeka moc atrakcji: z okazji „Dni Krakowa” Teatr Stary przygotowuje przegląd sztuk Stanisława Wyspiańskiego, oprócz tego planujemy ponowną wizytę w PWST dla obejrzenia wstrząsającego spektaklu Sławomira Mrożka „Pieszo”. Prosimy więc: przechodząc koło Wojewódzkiego Ośrodka Kultury sprawdzając, czy nie wisi tam naszypny komunikat „Mikrobusu”. Spotkamy się za miesiąc!

(akr)

Nowy sezon klubu „Sądeczanie”

Bardzo aktywny i prężny Klub Twórców Nieprofesjonalnych „Sądeczanie” dokonał w dniu 1 maja ponownego otwarcia swej galerii, mieszczącej się w Baszcie Kowalskiej na zamku. Zapraszamy codziennie w godzinach 10—15 i 16—18.

Członkowie klubu mają różnorodne i bogate plany. Podobnie jak w latach poprzednich, będą oni brać udział w kiermaszach, festynach i innych imprezach folklorystycznych. Zobaczymy ich m. in. na „Festynie z Dziennikiem” w Kryniei, na Jarmarku Dominikańskim w Gdańsku. W każdy przedostatni piątek i sobotę miesiąca „Sądeczanie” roztawia swe kramy na rogu Jagiellońskiej i Rynku — będzie to jednocześnie atrakcja turystyczna, niewielka ekspozycja i okazja do nabycia rzeźby lub obrazu.

Stale zebrania klubowe odbywają się na Baszcie w pierwszy i trzeci czwartek miesiąca. Są to zebrania otwarte: „Sądeczanie” zapraszają na nie wszystkich plastyków-amatorów, szczególnie młodzież.

W czerwcu grupa „Konary” (jej członkowie należą do „Sądeczanie”) wystawiać będzie swe prace w sądeckim MPiK-u. Tę samą wystawę obejrzą na jesieni mieszkańcy Łodzi. Klub myśli także o wystawieniu swych prac w Szwecji, również prawdopodobnie jesienią. Życzymy wszystkiego najlepszego!

(akr)

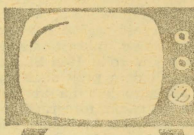
PS. Podobno niektórzy przewodnicy, oprowadzający wycieczki po placu Zamkowym i parku, starają się odwozić turystów od zwiedzenia galerii. Zdarzało się tak wielokrotnie w zeszłym roku. Skąd te dziecinne animozje?

Dotychczas w „Dunaju” Czytelnicy znajdowali felieton JAK W ZWIERCIADLE, poświęcony najlepszym filmom pełnometrażowym z bieżącego repertuaru kin. Mam nadzieję, że trafiła do amatorów naprawdę interesujących się dobrym filmem jako odbiciem życia. Rozumiem jednak, że tworzą oni grupę o wiele mniejszą niż widzowie szklanego ekranu — zaś dyrekcja programowa Telewizji Polskiej dotychczas nie potrafi ustalić z dostatecznym wyprzedzeniem, jakie filmy będzie wyświetlała. W naszym wypadku chodzi o wyprzedzenie trzytygodniowe: tylko wtedy moglibyśmy na bieżąco artystycznie wydźwignąć repertuaru filmowego w tv. Ponieważ zaś na małym ekranie pojawia się sporo seriali i pojedynczych opowieści, które — widziane i zapamiętane przez miliony widzów — są wydarzeniami w życiu kraju, chcielibyśmy wspominać również o nich. Jest przecież oczywiste, że bardzo nas poruszyły i zainteresowały „Polskie drogi”, „Kariera Nikodema Dyzmy”, „Ja, Kladiusz”, „Korzenie”, „Pogoda dla bogaczy”, „Decydujący front”, a także niektóre godzinne filmy telewizyjne. W ich wypadku nie jest najważniejsze czy były w pełni udane: liczy się, czy trafiły do wyobraźni, powiedziały coś nowego i prawdziwego o różnych czasach i sytuacjach; czy skłoniły nas do myślenia i wpłynęły na nasze poglądy. Dla takich filmów przeznaczamy nowy kącik w naszym tygodniku.

Moje pierwsze wrażenie po filmie Ryszarda Bera: podziw dla intuicji autora. DROGA była przecież zaplanowana jeszcze przed dwu laty, a kręcona w roku ubiegłym — i naprawdę nie sądzę, aby obyło się wtedy bez uwag w rodzaju: „jeszcze jeden! Uważaj się na Myśliwskiego, czy co?” (należy bowiem przypomnieć, że właśnie w okresie 1979—80 powstały dwa inne filmy według prozy Wiesława Myśliwskiego, trudnej w czytaniu, bardzo symbolicznej i „niefabularnej”, a w dodatku poświęconej mało popularnym sprawom chłopskim; były to KLUCZNIK Wojciecha Marczewskiego i PALAC Tadeusza Junaka, pierwszy — telewizyjny, drugi — kinowy, obydwu — dużej wartości tak artystycznej, jak intelektualnej).

A jednak Ber wiedział, co robi. Wybrał z powieści Myśliwskiego jeden wątek, jeden akcent symboliczny, podkreślił go tytułem i zobrazował, co, co stało się oczywiste dopiero teraz, w kilka miesięcy po nakręceniu filmu, na wiosnę roku 1981: obrazował dzisiejszą sytuację polskiej wsi, której droga zo-

ADAM GARBICZ
WIDZIANE
WSPÓLNIE



DROGA

stała zablokowana przez inną drogę — złego rozwoju polskiej cywilizacji przemysłowej.

Prawdziwość i aktualność wizji tego dramatu została uhonorowana wyświetleniem go w świetle 1 Maja, wtedy, gdy zobaczyć DROGĘ mogła chyba największa ilość widzów. Słuszny zaszczyt, bo choć nie jest to ani utwór udany we wszystkich szczegółach i proporcjach, ani prosty — wymaga sku-

pienia przy oglądaniu — to przecież ma wielkie znaczenie: oddaje sprawiedliwość chłopom polskim, wierzącym swojej ziemi i powołaniu, szanującym pracę i świętą tradycję, godnym, honorowym i odważnym. Bohaterem opowieści jest człowiek łączący w swoim charakterze wszystko, co stanowi o wartości mieszkańca naszej wsi.

Ma na imię Szymon. Urodził się przed sześćdziesięciu laty. Doświadczył tego, co kształtowało nas los od tamtych czasów przedwojennych do dziś. Jest autentycznym chorązym ludowym i w finale czyni tak, jak chorążemu przystoi: prowadzi swoich w imię wiejskiej racji przeciwko rozpędzonemu molochowi tych z miasta, którzy jakby już zapominali, kto ich żywi. Chce zwieść

może zrozumieć, że trzeba tę polną drogę dojazdową zostawić otwartą.

Napisalem, że Szymon — to najlepsze, co w charakterze polskiego chłopca. Może nie wszystko najlepsze, ale za to mocne i prawdziwe. Może nie wszystko najlepsze, bo Szymon skory do zawiadającej biatyki na wesołość, i do chytrych wywyższenia się nad sąsiada, który biedniejszy. Ale przecież ta honorowość, trwanie przy zasadach, nieprzejętym działaniu — to jego siła. Uważam, że Jerzy Radziwiłowicz oddał postać bohatera wręcz wspaniale: stworzył ekranową rzeźbę — symbol polskiego chłopca naszych dni.

Nie wiem, czy tak to odebrać prawdziwi Szymonowcy; czy uważają za wierne to, co wyreżyserował Ryszard Ber. Nie wiem, bo jestem z miasta. Ale tak przyjmuję.

Andrzej Kurylowicz też jest z miasta — i chyba nie udało mu się muzyka. Zastanawia mnie, dlaczego tak została pomyślana: wyobcowana i niepokojąca. W poprzednich adaptacjach Myśliwskiego — KLUCZNIKU i PALACU — też była to muzyka kontrpunktowa, ale tam chodziło o inne, bardzo zresztą warte autorowi pierwowzoru literackiego, idee-uogólnienia; w obu zresztą przypadkach partytury (Zygmunta Komitcznego i Leszka Orliczka) były wielkimi dokonaniem. Tu — nie. Czyżby świadomością wagi tamtych zaciężyła na decyzji kompozytora? Nie wiem. Nie jest to zresztą tak istotne. Ważniejsze, że DROGA została trafnie sfotografowana; że zdjęcia Zdzisława Kaczmarska logicznie i pięknie prowadzą myśl opowieści (znowu trzeba dodać, że dwie poprzednie ekranizacje zaczęły urokami kadrow).

Ale najbardziej cieszy, że powstał mądry film o zderzeniu na polskiej drodze i o tym, że mamy na kogo liczyć, jeśli otworzy się ją dla Szymonów.

Nauka jazdy pod Tatrami

Plac dworcowy PKS w Zakopanem, okres Świąt Wielkanocnych, godzina 16. Tyłem w skos podejżdża na swoje stanowisko „jellez” z trasy do Bukowiny. W oczekującym tłumie poruszenie. Fala ludzka wpływa na plac manewrowy, uderza w burtę pojazdu, cofający się autobus odpycha ją, kandydaci na pasażerów kładą się w tył niczym koszo-ny lan. Krzyk. Dramatycznie przebijają głosy dzieci, których kilkoro znalazło się w grupie atakującej jelleza; teraz leżą przytłoczone ciałami dorosłych. Widok jest groźny, można przypuszczać, że któraś z osób doznała obrażeń, może złań. Na szczęście nie. Po chwili jedna z dziewczynek, wyciągnięta z kłębowiska, wpada w histerię: mamusi, nie, nie! Nie chcę wsiadać do żadnego autobusu! Mamusi, nie, każ mi!

Wydać mi się, że skromna powierzchnia, którą można zagospodarować na dworcu autobusowy w Zakopanem, wykorzystano należycie: budynek mieści wszystko, co potrzebne i zapewnia chyba najlepiej przepływ pasażerów. Pomyślano kiedyś nawet o kaku dla najmłodszymi, którzy lubią rysować — i od razu o zmieniającą na bieżąco wystawie ich prac. Ostatnio ta akcja zaczyna kuleć; może odżyje po remoncie, którego już wymaga skrzydło budynku mieszczące bufet? Może. Ale zarówno funkcjonalność budynku, jak jego świeży wdzięk po odnowieniu nie ukryje faktu, że jest tu za ciasno. Ponadto zaś, co jeszcze ważniejsze, na placu dworcowym nie ma niczego, co mogłoby zapewnić porządek i bezpieczeństwo przy wsiadaniu do podejżdżających autobusów. Na razie jedynym śladem, że ktoś o tym myśli, jest tablica wisząca pod dachem peronu dla podróżnych:

**UWAGA PASAŻEROWIE
CHODZENIE I PRZEBYWANIE
NA PLACU MANEWROWYM DWORCA
SUROWO WZBRONIONE
PKS NIE BIERZE ŻADNEJ ODPOWIEDZIALNOŚCI
ZA EWENT. WYPADKI POWSTAŁE W WYNIKU
NIEPRZESTRZEGANIA POWYŻSZEGO ZAKAZU**

Tablica jest już nieco przysargana.

Autobus do Łysej Polany, środek sierpnia, godzina 14. Przybyłszy z całej Polski ustawiają się w kolejkę na chodnikach przy stanowisku podjazdowym. Na kilka minut przed terminem wyruszenia na trasę pojawiają się miejscowi, okupując teren na placu wokół czoła kolejki i zbijając się w gęstą grupkę. Podejżdża autobus. Zaczyna się szturm. Cepery z kolejką nie mają szans na zajęcie strategicznie dogodnej pozycji, a gwałtowny napór z tyłu dusi ich w środku ciżby. Starsze kobiety usiłują z godnością zrezygnować z jazdy, obwieszając się sąsiadom. Na próżno; maglowane przez otaczających, zostają w końcu wessane do wnętrza lub pozostają jeszcze w chwili po odejściu samotnie na placu, oszalone i beznadziejnie w dogłębnym zdegustowaniu.

Andrzej Stryczek, pełniący od kilku lat obowiązki dyrektora Oddziału PKS w Zakopanem, sprawia wrażenie energicznego optymisty, który nie boi się problemów swojej placówki. Może jego optymizm trochę zmalał od czasu, gdy rozmawiał z pierwszym, wiosną roku 1978, ale dyrektor nadal nie ma odruchu rozglądania rąk. Nie, nie — myślę — jak na to, co działo się w jednostkach terenowych krakowskiej dyrekcji PKS jesienią ubiegłego roku, kiedy załogi ostro rozliczały zwierzchników. Nie, nie jak na to, z jakimi problemami musi się mierzyć dyrektor oddziału zakopiańskiego. Ale porozmawiajmy o konkretnych. Najpierw pytam, jak Andrzej Stryczek zamierza rozwiązać problem ciasnoty placu dworcowego?

— Nie da się tego zrobić inaczej, jak przez przeniesienie części stanowisk gdzieś w pobliże; na przykład przystanek początkowy tras podmiejskich koło domu wczasowego kolejarzy...

— albo — to chyba jeszcze lepsze — na plac przed dworcem PKP?

— Tak, wystąpiłoby o to. Rzeczywiście mogłoby to być najlepsze rozwiązanie, ale Urząd Miasta coś się nie kwapi z odpowiedzią.

— A sprawa bezpieczeństwa na zatłoczonym placu? Dlaczego nie ma tam barierki, które zdają egzamin gdzie indziej w kraju?

— Już kiedyś były przy jednym ze stanowisk. I zaczęły się protesty: ludzie stwierdzali, że bariery są jeszcze większym zagrożeniem, że jeśli ktoś się dostanie między cofający autobus i bariery...

— Na innych dworcach jakoś się nie dostaje?

— Niedyscyplinowanie pasażerów jest nie do opamiętania. Poza tym przy manewrowaniu auto-

busu w tył potrzebny jest pomocnik. Nie mam na to ludzi. Coś, spóbnymy jeszcze raz: od 1 czerwca ustawimy bariery przy dwóch stanowiskach, prawdopodobnie tych najbliższych budynku dworca.

Bar dworcowy. Gorąco. Spragnieni w kolejce po napoje. Z boku podchodzi potężna gaździna. Protesty. Gaździna zdecydowanie weiska się w gąszcz przyładzie.

— Jo tu sie nie wcasuje. Mom robote. Ni mom casu stać.

W kolejce do autobusu stoi grupka studentek z nartami. Podchodzi kilku mieszkańców Podtatrza, którzy po drodze odwiedzili już co najmniej jeden bar. Stają przed dziewczynami dając do zrozumienia, kto tu gazduje. Te nieśmiało interweniują. Groźba awantury. Co trzeźwiejsi uspokajają tych bardziej krewkich, tłumacząc równocześnie przyjeźdnym: „oni musom do domu jechać. Ceka-jom na nik”. Po chwili miejscowych jeszcze przybywa, staje się jasne, że wejście do autobusu będzie zablokowane; spłoszone dziewczyny wycofują się do poczekalni.

Podpici wsiadają. Ten, który ma najwięcej w czubie, dostaje honorowe miejsce siedzące przy drzwiach. Po kilku minutach jazdy traci świadomość, zwiisa bezwładnie z wyciągniętymi nogami, o które potykają się wszyscy wsiadający i wysiadający. Autobus dociera do Bukowiny. Będzie chwila przerwy: kierowca wie, że tu trzeba pod różnicą wysadzić, więc opuszcza miejsce za kierownicą i wyciąga bezwładnego pasażera na śnieg, potem zaś sadza na ławce i poleca pieczy napotkanych wzrokiem znajomków.

Autobus może jechać.

— Czy pana nie zastanawia, dyrektorze, skąd niechcą do barierki i ustawiania się w kolejce?

— Ludzie przywykli. Trudno z tym walczyć.

— A kierowcy? Przecież jeśli na dworcu dzieją się tak zwane dantejskie sceny, to chyba boją się manewrować?

— Niestety, troszczę się raczej o to, że się nie boją. Mam spory procent ludzi, którzy w pracy są tylko po to, żeby mieć podkładkę, a pieniądze i tak dostają od rodzin z zagranicy. Są na nich skargi za sposób traktowania pasażerów. Ale tych nie puszcza na najgorsze trasy, takie jak do Kuźnic czy do Białki.

— Kuźnice to oddzielna sprawa. Właśnie; co z tymi berlietami, które miały rozwiązać komunikację na odcinku do ronda i kłopoty narciarzy? Przed trzema laty mówił pan...

— Otrzymałmśmy tylko dwa „mexy”, to znaczy trzydziściwio berliety miejskiego typu PR 110 U, które pozwalają na przewożenie pionowo we wnętrzu nawet nart o długości 2,15 metra. Nie udało się także załatwić sprawy poprzez kosze z tyłu autobusów. Było dużo kradzieży: grasowały szajki młodocianych, którzy wyciągali narty z kosza na przystankach lub nawet w biegu, na stromych podjazdach. Musiałem podjąć decyzję, że narty do środka.

— Ale to oznacza zniszczenia wnętrza?

— Tak, w jellezach są one dość duże; w sanosach mniejsze. To zresztą nie nowego, że zbyt mała ilość sprzętu powoduje szybsze użycie eksploatowanych sztuk. Dodatkowe zaś kłopoty mieliśmy w styczniu i lutym: dysponowaliśmy letnim paliwem, zamarzyły silniki, trzeba było odwołać dość dużo kursów. Dopiero od marca się poprawiło i podobnie, jak w roku 1980, regularność kursów mamy bardzo dobrą.

— Regularność kursowania zatłoczonych autobusów to jeszcze nie jest regularność serio...

— Proporcja ilości taboru do ilości przewożonych osób od lat jest niezmiennie niewłaściwa. Dopiero w tym roku dostawę mają o 4 sztuki przewyższające przewidywane zużycie. Chcę odciążyć przede wszystkim trasę do Białki przez Bukowinę...

Przystanek Bukowina Na Klinie, koniec czerwca, godzina 10. Na przystanku około 25 osób, większość stanowią górali, jest paru starszych wczasowiczów, jest jeszcze trzydziestoletni ceper z żoną i kilkuletnim chłopczykiem, gorączkowo rozglądający się i najwidoczniej planujący taktikę osiągnięcia wnętrza autobusu: aha, już wie, co się będzie działo. Przyszedł wcześniej od innych i stoi w miejscu, gdzie powinny się znaleźć drzwi. Podejżdża autobus Łysa Polana—Zakopane. Ceper dobrze trafił. Zapięra się w drzwiach, powstrzymuje gromadę ludzi i usiłuje umożliwić wejście rodzinie. Górali w pierwszej chwili zaskoczone są niezwykłym oporem, rychło jednak atakują, energicznie drapiąc i szczypiąc zawalidrogę. Purpurowy z wysiłku obrońca swoich bliskich rzuca coś tam w tył przez zaciśnięte zęby. Klótnia. Zona z dzieckiem wsiadły, natomiast na cępra wyrok wydaje konduktor: „pan nie jedzie. Co to za odżywkę do kó-bi!”

Ułaskawienie przychodzi po chwili; jednak dla wszystkich starczyło miejsca. Ale co cęperska rodzinka musiała jeszcze wysłuchać po drodze!

— Czy nie uważa pan, dyrektorze, że ten tłok można jednak jakoś rozładować? Wprowadzić bardziej elastyczny, dostosowany do sezonu, rozkład jazdy?

— Sezon? U nas to dziesięć miesięcy w roku.

— Ale jest sezon narciarski i sezon wycieczkowy, i są różne długości dnia. Zostawmy zresztą warunki jazdy; powiedzmy, że zależą od ilości sprzętu...

— Nie tylko, nie tylko. Na przykład przewidywano, że od 1 czerwca 1981 PKS zacznie się wycofywać z obsługi linii do Nowego Targu ze względu na równoległość linii kolejowej. W pierwszym etapie miała być ograniczona sprzedaż biletów miesięcznych, a później, po wybudowaniu trzech dodatkowych przystanków PKP (Poronin—Misiąg, Białą Dunajec—Fabryka i Bańska), zlikwidowaniu zupełnie lokalne kursy autobusów, które moglibyśmy przerzucić na inne kierunki.

— No i co się stało?

— Kolej nie ma środków i ludzi na wybudowanie tych przystanków; musieliśmy zrezygnować.

— Ale ręk pan nie rozkłada?

— Cóż nam pomoże obrażanie się na rzeczywistość? Zresztą te sprawy są przecież sprawami całej załogi i myślą o nich wszyscy. 24 lutego na zebraniu oddziału (przyjmowany był wówczas plan roczny) wiele się mówiło i o kulturze oraz jakości obsługi pasażerów, i o koniecznych usprawnieniach na końcowych punktach linii autobusowych. Na przykład załoga bardzo się upominała o miejsce do nawracania w Kirach, Wojdyłowce, Olczy, Brzezinach, na Ciągłowiec; podpisano w tej sprawie petycję do naczelnika.

— No dobrze, a co załoga zrobiła w najmniejszych nawet sprawach sama?

Zasłyszane:

Przy wejściu do autobusu tłum góralek z tobozami, na boku zdrylowana turystka koło pięćdziesiątki, usiłująca coraz bardziej rozpaczliwie wywalczyć miejsce u wejścia. Młoda gaździna, obladowana barłami z mlekiem, wykonuje ze zniecierpliwieniem bodziec, mrucząc:

— Gdzie się, kurwa, pchasz?

— Niesłychane! — piszczy cęperka. — Co pani sobie wyobraża! Jak pani ludzi nazywa!

— To nie do paniusi. Dyć kurwo musi być piękno i młodo.

Rzeczywiście. Trzeba wiedzieć, co w góralskiej mowie zastępuje dziś przecinek.

Myliłby się grubo ten, kto wyjaśnić sytuacji szukałby w różnicy cywilizacyjnej. Skoro sezon pod Tatrami trwa dziesięć miesięcy, to przez dziesięć miesięcy na drodze tutejszych ludzi, jadących z pracy i do pracy, po zakupy i z miasta, stają tłumy turystów i wczasowiczów. Miejscowi mają świadomość, co dla nich oznacza perspektywa przychodzenia na dworzec z wypreżeniem półgodzinnym lub oczekiwanie jeszcze przez godzinę na następny autobus. Kochać mogą cęprów tylko za dutki, które przywożą. Nie mogą kochać za to, że ci ludzie stają im na drodze. Gdy robi się zbyt ciasno, trzeba walczyć o swoje miejsce, a przemoc rodzi przemoc i uniemożliwia po kolei zasady współżycia. Nie, tu nie chodzi o różnice obyczajów, wy-niesione z domu i nabyte w rodzimym otoczeniu.

Stanowisko przed dworcem zakopiańskim, dzień przed Wigilią, godzina 17. Podejżdżający autobus do Białki atakuje zwarta ludzka masa. Przy drzwiach wejściowych bijatyka: jakiś dwumetrowiec tratuje parę dziewczynek w wieku przed-szkolnym, za co dostaje z tyłu po głowie od ojca, a z przodu łokciem w brzuch od matki. Na chwilę zastęga; napór z tyłu podcina mu nogi; podobnie jak sąsiedzi wtacza się na stopień na kolanach.

Po kilku minutach wszyscy oczekujący na przystanku znajdują się w autobusie. Uczestnicy konfliktu chylikiem, w ciszy, spoglądają po sobie. Nie są z miejscowych; wszyscy przyjechali tu na wczasy. A tam, w swoich miastach na nizinach, tak się nie zachowują...

O nie, to nie klimat czy nastrojów miejsca. To innego rodzaju epidemia. Mieszkańcy stolicy u siebie w domu mogą być dżentelmenami, bo pozwalają im na to warunki społecznej komunikacji. Tych samych dżentelmenów w Zakopanem, o ile bawią tu bez własnego samochodu, nie po paru dniach nie odróżnia od reszty komunikacyjnego tłumu; może co najwyżej krępa.

Sympatyczny dyrektor zakopiańskiej komunikacji ma na głowie większe problemy, niż ustawianie kolejek do autobusów — a traktowanie się przy wsiadaniu można wyeliminować naprawdę skutecznie tylko przez takie wzbogacenie taboru, aby każdy mógł wsiąść o tej porze, o której chce pojechać. Ale to wcale nie znaczy, aby nie próbować wszelkich możliwych rozwiązań poliownych. Nie wolno zgadzać się na prawo przemocy i nastroje paniki. Przystanie na takie prawo — w jakiegokolwiek dziedzinie — oznacza, że krzycząc o postępie demokracji, będziemy się równocześnie cofać w rozwoju cywilizacyjnym.



Sport i społecznikowska pasja. Narty, lina — i krzesło burmistrza. Zaczęło się schroniska — i wielka scena olimpiady berlińskiej. Wydarzenia wielkie i małe. Życie pełne napięć i wspaniałych przeżyć, wpisane w najpiękniejszą górską scenerię.

Jerzy Ustupski: postawny, rasowy góral o młodzięcej twarzy, z której żyłciwie i szybko patrzył niebieskie oczy, o białych włosach dziwnie kontrastujących z tą młodością twarzy.

Już czterysta lat temu Błażek Ustupski otrzymał godność pierwszego wojewody na Ustupie, podta-

trzańkiej wsi stanowiącej rodowe gazdostwo. Trzymał się ten rod ziemi przez kolejne pokolenia, pańskich kłamek się nie czepiając — dumny ze swych góralskich paranteli, wolny jak tylko górale umiały być wolni. Dopiero stryj Jerzego, Jan zwany Kubeckim, budowniczy nad budowniczymi, jeden z tych, co to Zakład Chramca stawiali, z Zakopanem się związał. A za nim również ojciec Jerzego, co to w samym Wiedniu kończył szkołę stolarstwa i ciesielski, by u stóp Tatr uczyć góralską młodzież w szkole przemysłu drzewnego.

Jednym z najślawniejszych uczniów ojcowych był Stanisław Żubek, który jeszcze w pracowni Ustupskiego wykonał narty dla samego Stanisława Barabasy — pioniera tatrzańskich narciarzy; na takich to nartach, kaloszków bez rowka, stawiali swe pierwsze kroki na śniegu i młodzi Ustupscy.

Pracownia narciarska ojca — jedna z pierwszych w Zakopanem — dała małemu Jurkowi więcej niż innym chłopcom najwspanialsze salony. Któż tam nie był: Rafał Malczewski, Henryk Bednarski i Barabas, bracia Hiszpańscy, Walery Goetel, Zwołnscy... Ież się nasłuchał od nich o „nartach, o wspinaczkach! Malczewski opowiadał o tragedii na Zamarłej Turni, gdy na jego oczach zginął Bronikowski — i kto dziś dojdzie, ile zrzuconego wówczas w duszę Jerzego ziarna wzrosło późniejszymi staraniami o rozwój górskiego pogotowia ratunkowego?

Ale to miało stać się dopiero za parę lat. Na razie zakopiańczycy spoglądali ze zdumieniem, jak mały Ustupski z Tadekiem Brzozą i innymi kolegami z pierwszej, drugiej klasy udawali się na Giewont, Sarnią Skalkę, na Czerwone Wierchy.

Mijały lata, chłopcy dorastali. Zawierali nowe przyjaźnie. Z Iwonicza zaczął przyjeżdżać Antoni Kenar, potem warszawiacy: Chwaściński, Stanisławski, Wojsznis, Jerzy polnął bakcyła taternictwa, choć nadal najważniejsze były narty. Dla trójki przyjaciół: Kenara, Czecha i Ustupskiego taternictwo stanowiło tylko formę sportowej zaprawy do białego szaleństwa.

Południowa ściana Kościelca, uskok Zabiej Łalki, Południowa ściana Kozięgo Wierchu, Niebieska Turnia... Nowe drogi, wytyczanie szlaków, radość z pokonania trudności i pokonania samego siebie, swojego ciała, swojego zmęczenia. Ale tylko latem ciągnęła ich skala — zima była wyłącznie dla nart.

Nie tylko piękne przeżycia dawały góry; czasem były groźne i straszne: gdy przychodziła wieść, że zabrali kogoś z przyjaciół, gdy na twóich oczach odpadał ze ściany towarzyszył wielu wspólnych wypraw. Jak wtedy na Zamarłej, kiedy do Pustej Dolinki spadły ciała siostr Skotnicównien i oni — Ustupski, Czech i Wójcik pierwsi stanęli nad dwoma dziewczęcymi trupami leżącymi na zbityżanym krwii piargu...

Ież razy zawracali ze szlaku, by pomóc kolegom z górskiego pogotowia ratunkowego w akcji... Ież razy sami spieszyli na ratunek... Jerzy coraz mocniej wciągał się w pracę pogotowia. Ież to już lat mają? Pięćdziesiąt? Pół wieku spieszności na ratunek do górskich dolin i w urwiste zwały skalne.

Słupnice — największa wieś Ziemi Limanowskiej, powstała z połączenia w 1931 roku dwóch samodzielnych dawniej miejscowości: Słupnic Królewskich i Słupnic Szlacheckich. Granicą był płynący środkiem potok — od jego koryta w stronę Mogielnicy i Łopienia ciągnęły się Słupnice Królewskie, zaś w drugą stronę, ku wschodowi — Słupnice Szlacheckie.

Miejscowa tradycja opowiada, że Słupnice założył król Władysław Łokietek, który osadził tutaj 16 jeńców tatarskich, dając im ziemię i wolność. Potomkami tych pierwszych osadników mają być ludzie noszący takie popularne w Słupnicach nazwiska, jak Gaura czy Ubik. Nazwiska te mogą być również pozostałością po wielkiej migracji plemion pasterskich bałkańskich i moldawskich, która w XV wieku objęła również i tereny Beskidu Wyspowego.

Tradycję, iż początki Słupnic sięgają czasów Władysława Łokietka, potwierdzają również przesłanki historyczne: wieś istotnie musiała powstać najpóźniej za panowania tego monarchy, skoro za jego następcy — Kazimierza Wielkiego — była już na tyle dobrze zagospodarowana, że król ustanowił tutaj samodzielną parafię. Stało się to pomiędzy latami 1358 a 1373; dodajmy, że badania wykazały, iż często przytaczany dokument fundacyjny parafii słupnickiej z 1337 roku jest fałszykiem.

Słupnice Królewskie były z pewnością starsze od Szlacheckich. Ta część dzisiejszej wsi aż do czasów rozbiorów stanowiła integralną i najlepiej zagospodarowaną część niewielkiej dzierżawy tymbarskiej, szumnie niekiedy „starostwem” nazywanej. Dokładny inwentarz Słupnic Królewskich przytacza lustracja majątności królewskich z 1564 r., w której czytamy, iż „w tej wsi kmiecie 26, którzy niepomniemnie rolę trzymają, przeto też jako wiele latów pod nimi jest, ani pan dzierżawca, ani oni sami powiadzieć nie umieją”. Kmiecie ci płacili na rzecz dzierżawcy czynsze, wynoszące od całej wsi łącznie 24 grzywny i 18 groszy. Oprócz nich było jeszcze trzech innych kmieci, chyba dopiero co osadzonych, skoro „do trzech lat rolę trzymać mogą (a po upływie tego czasu) ci też po grzywnie czynsze płacić będą”. Ośmiu kmieci skupił dzierżawca klucza tym-

barskiego — Lubomirski z Wisnica, zakładając na ich rolach folwark. Lustracja wymienia również karczmę, której właściciel z roli i wyszynku płacił rocznie 5 grzywnien czynszu.

Kmiecie oprócz czynszów zobowiązani byli do następujących dodatkowych opłat: podatku od każdego prosiaka („żyrowe”), wynoszącego 2 grosze od sztuki oraz po 1 groszu od każdej kozy. Wszyscy oddawali również daniny w naturaliach — a więc „sepi” — czyli daninę w zbożu, kapłony, ci zaś, którzy mieszkali nad rzeką i łowili pstrągi, odnosili do dworu rocznie po kopie tych ryb. Przypadłiste lasy słupnickie pełne były zwierzyzny, na którą chłopom wolno było polować, pod warunkiem, że rocznie dostarczają do dworu po sztuce z każdej łownej zwierzyzny. Rozpowszechnionym wśród mieszkań-

cej do kmieci, dalej wymienia 4 gospodarstwa zagrodnicze, 3 rodziny komornicze, młyn oraz pół łana kaczmarzkiego. Zaznaczono również, że kaczmarz piwo wyrabia sobie sam.

Lustracja królewszczyzn z 1765 r., ostatnia przed rozbiorami, wylicza w Słupnicach Królewskich 67 gospodarstw kmieci, płacących „czynsze, najmy, daniny, za osep i oprawę”. Na gruncie należącym do dworu osadzonych było 22 „chałupników z gór”. We wsi znajdowało się soltystwo wybranieckie w posesji Macieja, Jakuba i Jana Curzydów, ustanowione przywilejem wydanym przez króla Augusta III Sasa dnia 20 listopada 1744 r., wolne od wszelkich powinności pańszczyźnianych za wyjątkiem służby wojskowej i zryczałtowanego czynszu, wynoszącego 100 złotych polskich rocznie.

trzy lata później, w roku 1564, Słupnice Szlacheckie należały już do Janusza Mstowskiego, a w pierwszej połowie XVII w. (1629 r.) wieś stanowiła własność Jana Mstowskiego.

Rejestr poglównego z 1676 r. wylicza w Słupnicach Szlacheckich 125 osób, od których płacono jest podatek, rejestr podymnego z 1681 r. informuje, iż we wsi tej stoi 40 chałup.

W XVIII wieku wybudowano w Słupnicach Królewskich nowy kościół parafialny, z drewna, postawiony na miejscu poprzedniego (poświęcenie świątyni w 1776 r.). Budowla ta, odrestaurowana gruntownie kilka lat temu, kryje wiele cennych zabytków sztuki — m.in. późnorenansowy obraz, malowany lub przemalowany w 1637 r., przedstawiający postać Małki Boskiej z Dzieciątkiem, św. Andrzejem (patronem parafii), św. Mikołajem oraz fundatorem herbu Odrowąż, bliżej jednak niezidentyfikowanym.

Ciekawą opowieść dotyczącą Słupnic Szlacheckich przekazał mi niezujący już Walenty Gawron z Sowlin. W 1787 r. Ignacy Gdynski — właściciel Lipowego, zechciał sobie zagrać w karty z dziećmi z sąsiednich Słupnic. Ponieważ przegrał już wszystkie pieniądze, postawił na kartę — w nadziei wygrania — 12 zagród chłopskich. Dalej jednak szczęście mu nie sprzyjało — przegrał i chłopów. Zaraz przystąpiono do wyznaczania nowej granicy — wyręczano parą wołów z plugiem i przeorano od jednego do drugiego końca wsi. Ponieważ wieś Lipowe jest pochylona ku północy, zatem niezadługo w czasie ulewnych deszczów wody tak poglobiły brudzę, że stał się z niej trudny do przebycia potok. Te dwanaście przegranych zagród uzyskało wówczas nową nazwę: „Lipowe Słupnickie”. Nie sprawdzając wiarygodności tej informacji — przytaczam ją jedynie jako ubarwienie suchych historycznych faktów.

Przytoczmy jeszcze przekazy informujące o zagospodarowaniu Słupnic w drugiej połowie XIX wieku. Otóż w opisie Słupnic Szlacheckich, zamieszczonym w „Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” stwierdzono, iż wieś się ciągnie „długim szeregiem wzdłuż potoku i drogi z Tymbarku do Łącka i Tyłmanowu”. Stało tam wtedy 345 domów, niejednosobno zaś liczyła 1982 mieszkalców, w tym 28 Żydów. Słupnice Szlacheckie liczyły wówczas 1541 mieszkalców, wśród których wyznania najobszerniej 70 osób. W tej części dzisiejszych Słupnic było 254 domy.

Jan Wielek

Z DZIEJÓW WSI SŁUPNICE

ców Słupnic zajęciem był wyrób gonów — trudniący się tym fachem zobowiązani byli do oddania rocznie dla potrzeb dworu po 12 kóp (720 sztuk) tego wyrobu.

Płynące przez wieś potoki wprowadziły w ruch dwa młyny o jednym kole: pierwszy, który „gdy były czasy suche albo mrozy wielkie, to nie mleiał” i drugi wyposażony dodatkowo w pilę trakową, stojący przy rzece Czarniej.

Rejestr podatkowy z 1595 roku podaje, że dzierżawca Słupnic Królewskich jest Mikołaj Lubomirski; dokument informuje też, że zagospodarowane jest tutaj 7 łanów ziemi należą-

Początki Słupnic Szlacheckich wiązać należy z rodem ryckim, pieczętującym się herbem „Krzywaśny” lub „Drużyna”. W roku 1400 miejscowość ta była wzmiankowana jako własność dziedziczna Skarbka ze Zręczyc i Jana ze Zbydniowa. W kilka lat później, dokładnie w 1416 roku, podczas sądowego podziału dóbr należących do tego rodu, Słupnice wraz z Łososiną Górną przypadły Janowi ze Zbydniowa. Rejestr poborowy z 1561 r. informuje, że dziećmiem słupnickim jest Jan Mstowski herbu Drużyna, który płaci podatek od 5 łanów kmieci, 3 zagrodników, 1 komornika z bydłem i 1 bez bydła. W

Dorósł, trzeba było podjąć pracę zarobkową. Broniek Czech pojechał na studia do Warszawy. Ustupski też opuścił Zakopane, by stanąć przy linotypie w krakowskiej drukarni.

Wielu miał przyjaciół-sportowców, narciarzy, których wprowadzał w arkana tego sportu. Teraz oni wciągali go do Akademickiego Zrzeszenia Sportowego. Zaprzyjaźnił się z Veremem — szwajcarskim obywatelem, który tu, w Krakowie, namawiał kolegów do uprawiania wioślarstwa. Jerzy dał się pociągnąć urokowi tego sportu — nie oderwało go nawet wojsko — i, gorąco angażując się jak we wszystkie swe działania, zaczął osiągać niemałe sukcesy: w 1932 startowali na Mistrzostwach Europy w Belgradzie, zdobywając brązowy medal, w trzy lata później wywalczyli złoto w Berlinie, a na berlińskiej Olimpiadzie 1936 roku uzyskali dla Polski brąz; za te wyniki wysłano Jerzego na studia do warszawskiego Instytutu Wychowania Fizycznego.

Wojna zapisała się w życiorysie Jerzego Ustupskiego partyzantką gorczańską i warszawskim powstaniem, wzięciem na Montelupich i obozem Oświęcimskim. Miał jednak więcej szczęścia niż Broniek Czech — przeżył...

W 1945 roku, krótko po wyzwoleniu zaproponowano Ustupskiemu pracę w radio, w referacie turystyki. Ale pewnego dnia ktoś z Ministerstwa Zdrowia usłyszał jego głos na falach eteru — i tak przyszła propozycja wyjazdu na Dolny Śląsk, dla rozzerzenia się po tamtejszych urządzeniach sportowych i bazy turystycznej. Przeszedł więc Ustupski od Ładka po Świeradów i... postanowił tam pozostać. Pracował w Zarządzie Uzdrawisk Dolnośląskich, a po pół roku mianowano go dyrektorem Uzdrowiska Karpacz-Bierutowice.

Dobrze mu się tam pracowało. Na tamtejszych terenach osiedliło się wielu lwowiaków i warszawiaków, którzy wkładali wiele serca w zagospodarowanie swych nowych siedzib. Potem ścigał z Zakopanem Marusarza i Pawlicę, a z dalekiej Anglii — Zubka. Zainicjował, wspólnie z AZS-em, wielkie zawody akademickie „Ślęsiada”: około trzech tysięcy studentów zjechało do stojących pustką domów i pensjonatów, by uczestniczyć w tej wielkiej manifestacji sportowo-turystycznej na odzyskanych dla Polski ziemiach. Trzykrotnie odbywały się owe „Ślęsiady” — póki Fundusz Wczasów Pracowniczych nie zagarnął studentom bazy noclegowej.

Ale nie tylko narciarstwo nadal pasjonowało Ustupskiego. Zaszczepił na śląskiej ziemi również... górskie pogotowie ratunkowe. Sprawił to trochę

przypadek: ze ścieśnić spaść WOP-ista. No, a potem trzeba było zabezpieczyć „Ślęsiady” i inne imprezy turystyczne, które zaczęły się mnożyć w tamtejszych górach.

W tym też czasie otrzymał Ustupski z Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego nominację na pełnomocnika do spraw przejścia schronisk i wkrótce powstała w Jeleniej Górze Dyrekcja Turystyki Sudeckiej PTT.

Bardzo ciepło wspomina owe czasy. Nazywa je wręcz „złotymi”. Był w swoim żywiole, energię poświęcał organizowaniu tego, co zawsze pasjonowało go najbardziej: sportu narciarskiego, turystyki, ratownictwa górskiego.

Do Zakopanego wrócił w 1948 roku, by objąć stanowisko... burmistrza miasta. Był ostatnim burmistrzem w Polsce, gdy w innych miejscowościach powstawały już rady narodowe. Po kilku latach nieobecności patrzył na swą rodzinną miejscowość świeżym okiem i tym bardziej pragnął by piękna. Niestety — zbyt krótko piastował swe stanowisko. Ale i tak zdążył wprowadzić miejską komunikację: dochodziła nawet do Strążysk. Dział boleje, że miasto oddało taką „żyłę złotą” Pekaesowi.

Jednocześnie nie zrywał ze sportem: przez pewien czas prezesował okręgowi Polskiego Związku Narciarskiego, uczestniczył w akcjach pogotowia, wspierając je również materialnie i pomagając werbować nowych ochotników.

I znów Warszawa. Tym razem zaproponowano Jerzemu Ustupskiemu, by podjął się zjednoczenia krajowych towarzystw turystycznych. Najeżdżał się wtedy po Polsce! I znów organizował wielkie imprezy — rajdy turystyczno-narciarskie: „Południowy Polski” z metą w Zakopanem, „Śląsk-Beskidy” i „Sudety”. Do dziś wspomina je, jak również i „Ślęsiady”, jako wydarzenia wielkiej miary, pełne ogromnego entuzjazmu i zaangażowania uczestników; sam prezes Rzeczek wderował w piekarnik, biwakując jak „szary” turysta gdzie się dało i wspólnie ze wszystkimi zasiadając przy ogniskach.

Jednak ciągnęło Ustupskiego w rodzinne Tatry. Właśnie wyremontowane schronisko „Murowaniec” na Hali Gąsienicowej — skrzyśtał z tej okazji i osiadł w nim jako kierownik. Na dwa lata, bo później córka musiała iść do szkoły. Tam, na Gąsienicowej, mocno jak nigdy przedtem zrósł się z pracą GOPR. Jeszcze nie wiedział, jak mocno.

Opuścił Murowaniec, by objąć stanowisko kierownika Ośrodka Sportowego w Zakopanem. Ośrodek ten był jego marzeniem od dawna — jeszcze

od czasu, gdy burmistrzował miastu. Teraz szanse miał w swoich rękach. Rozpisano konkurs (zadanie było nietrafne, skoro sporządzono trzy kolejne projekty), walczył o teren. Przypadły się dotychczasowe kontakty z różnymi ludźmi: Wiktor Pekala dał trochę ziemi z puli miasta, Walery Goetel — parku Tatrzańskie. Dyrektorzy Huty Katowice i Mostostalu zabrzańskiego pomogli w sponrządzeniu konstrukcji stalowych. W osiem lat Ośrodek stanął, a zbudowano go solidnie, że do dziś żadnych kapitalnych remontów nie przechodził. Nie udało się jednak Ustupskiemu zrealizować innego marzenia: o basenach dla Zakopanego. Władze miasta zbyt mało miały w tej sprawie do powiedzenia i teren, gdzie przebiegały gorące potoki podziemne, zajął dla swych domów wczasowych Urząd Rady Ministrów.

W tym też czasie został Jerzy Ustupski prezesem GOPR-u. Dawne Pogotowie Tatrzańskie rozbudowało się w ogólnopolskie pogotowie górskie z grupami: Beskidzką, Sudecką, Podhalańską, Krynicką, Bieszczadzką. Jeszcze działało w ramach PTTK, ale już wkrótce miało się usamodzielniać.

Dużym wydarzeniem dla Pogotowia był piękny gest rodziców młodej taterniczki, Ewy Dewitz, która zginęła w Alpach. Przekazali oni odszkodowanie — dwadzieścia tysięcy franków szwajcarskich — na zakup nowoczesnego sprzętu ratunkowego dla GOPR. Coraz więcej też skupiało pogotowie ochotniczych ratowników — dla najlepszych taterników i narciarzy przynależność do tego bractwa stała się niejako punktem honoru.

Gdy dziś Jerzy Ustupski spogląda wstecz, na pięćdziesiąt lat, jakie minęły mu w służbie ratownictwa górskiego, ma wiele satysfakcji, że wniósł swą cegiełkę w to piękne dzieło. Przecież właśnie on! polscy ratownicy — pomagali Słowakom organizować ich Horsku Służbę, to właśnie GOPR przełamał tradycję szwajcarskiej organizacji ratownictwa górskiego, stając się jej pierwszym polszajpejskim członkiem. Nie na „piękne oczy” przecież...

Jerzy Ustupski niedawno ukończył siedemdziesiąty rok życia. Otrzymał z tej okazji wiele wierszujących dowodów pamięci: zarówno tej „oficjalnej”, jak i zwykłej ludzkiej. Od przyjaciół z całego świata, od ludzi, z którymi chodził górskimi szlakami, od ludzi, którym niósł pomoc w najtragiczniejszych momentach... Te listy, telegramy, dyplomy, pamiątki — to jakby skróty zapisu historii życia, które poświęcił innym ludziom, które poświęcał swym ukochanym górcom.

Janusz Kasprowy

Kto obroni prokuratora?

Atak jest przemysłowy, ma charakter totalny. Każdy chwyt jest dozwolony, jeżeli prowadzi do wyznaczonego celu, a celem zaś jest: podważenie autorytetu osoby pełniącej od lat funkcję prokuratora. Chodzi również o sprawy majątkowe, na Podhalu zwłaszcza ważne.

Zaczęło się banalnie. Jest, a raczej była rodzina: dobra żona, gorszy mąż i nienajlepsza córka. Ten „gorszy” mąż był znacznie lepszym ojcem dla swej córki, od — uważającej się jednak za bardzo dobrą — mamy. Ale cóż, kiedyś ojca zabrakło, bo najpierw wyprowadził się z domu, który sam z własnych oszczędności zbudował, a następnie czując, że ze zdrowiem u niego nie najlepiej, chciał zabezpieczyć córkę, zapisując jej połowę wybudowanego domu. Ze względu na to, iż dom stanowił majątkową współwłasność, jedną czwartą część posesji ofiarował ojciec, drugą zaś — matka. Wkrótce potem ojciec umarł. W wyniku sądowego ustalenia praw spadkowych córka otrzymała jeszcze dalszą należną część. Stała się więc w sumie właścicielką 9/16 rodzinnego domu, wraz z parcelą.

Pensja prokuratora córki z trudem wystarcza na opłaty notarialne i podatek. Z pensji trzeba też utrzymać dziecko, którego ojciec również nie żyje. Willą gospodaruje więc nadal matka.

...Córko kochana — przyjeżdż, bo dom chcą dać lokatorem, ojcównia u niebezpieczeństwie. Jak nie przyjeżdżysz, to raczej to wszystko spać... Takie listy, depesze i telefony ponaglały. Decyzja jest nietrafna, kiedy wrosło się już w środowisko w odległym, dużym mieście. Ale kiedy ponaglenia idą jedno za drugim, zapada postanowienie o powrocie. Uzyskanie szybkiego przeniesienia służbowego nie obywa się bez kłopotów, trudności i strat finansowych.

Wzmacnem w rodzinnym domu czeka na panią prokurator i jej dziecko zaledwie zimny, nieogrzewany pokój. Brakuje ciepłej wody, której jest tylko

tyle, by zaspokoić potrzeby gości w wynajętych na kwatery pokojach. Trzeba więc surowe poddasze przebudować, urządzić tu mieszkanie, w którym można żyć. Z pensji nie jest to łatwe, nawet gdy znajomi życzliwi ludzie udzielają pożyczek, doradzają, pomagają. Dodatkowa praca nieco łagodzi finansowe kłopoty. Jest już gotowy pokój, łazienka z kuchenką, gdzie można się umyć w ciepłej wodzie, czy przygotować posiłek...

Radość nie trwa długo. Na początek pewnego dnia zaczyna brakować wody w kranie, zapewne z powodu zbyt niskiego ciśnienia. Pani prokurator myje się więc w pracy, kąpie — u sąsiadów. Zaś często wieczorami można ją spotkać, gdy z wiaderkiem idzie do sąsiadów — na pożyczki.

Przyczyna „posuchów” niebawem się wyjaśniła: w łazience na parterze został zamontowany kurek, którym można było o każdej porze odciąć dopływ wody ze wspólnego pionu na górę. Dochodzi do wymiany zdań, utarczek słownych i innych zajęć — zwykle przy świadkach „poszkodowanej” przez wyrodną córkę matkę.

W skrzynce na listy któregoś dnia pani prokurator znajduje pozew do sądu o konfiskację darowizny. Ale choć na rozprawie matka długo tłumaczy, dlaczego chce odebrać córkę zapisaną niegdyś przez siebie ćwiartkę domu, sąd nie uznaje jej racji i powództwo oddala. Matka nie rezygnuje: wnosi rewizję, a jednocześnie sięga po inne środki. Zaczyna pisać skargi i zażalenia do miejsc pracy i do instytucji nadzórnych; do KC partii, Rady Państwa i rządu, do radia, telewizji i gazet. Argumenty w nich podniesione rozmiągają się z prawdą, są zwykłym szkalowaniem, ale w tej walce każdy chwyt jest dobry.

Zwycięstwo jest jednak zbyt odległe; skargi i zażalenia są rozpatrywane dokładnie i wnikliwie, a na to trzeba czasu. Matka sięga więc po inne środki — plotkę, sflingowane zajścia, sta-

wiając siebie w roli biednej staruszki budzącej litość i współczucie, poszkodowanej, sekowanej przez córkę. Tym sposobem, odnosi pierwsze „sukcesy”: córka zaczyna mieć kłopoty w pracy. Prokuratura Wojewódzka i Generalna zwracają uwagę na swego pracownika. Tymczasem przybywają nowe interwencje: z radia, telewizji, prasy. Na wszystkie trzeba odpowiadać, pisać wyjaśnienia...

Sąd stawia warunek konieczny do podziału domu: zbudowanie oddzielnej wejścia do budynku, przebudowę klatki schodowej, jednym słowem — oddzielenie przetrzebionego na mieszkarnie strychu od komfortowego parteru. Zgodnie z tym zaleceniem pani prokurator buduje podest, schody betonowe, wykruwa mury pod bramę wejściową, osadza drzwi. Wszystko zgodnie z wymogami prawa budowlanego. Zostały też zbudowane przez dobrych cieśli i za drogie pieniądze drewniane schody na piętro. Sąd podczas wizji lokalnej stwierdza więc, iż istnieje możliwość podziału budynku. Matka zaczyna protestować, wskazuje rzekome trudności z wejściem do domu, które pociągnęła za sobą przebudowa.

Gdy córka wraca z kilkudniowej podróży służbowej i otwiera wejście... schodów nie ma. Są za to poniszone wykładziny ścian, zdewastowana klatka schodowa. Dochodzenie wykazuje ponadto włamanie do mieszkania pani prokurator, kradzież biżuterii, dewiz, pamiątek rodzinnych. Przybywa następna sprawa w sądzie. A tymczasem do mieszkania na piętrze trzeba wchodzić po drabinie.

Wezwanie z komisji kontroli partyjnej zastaje panią prokuratora na chorobowym zwolnieniu, spowodowanym upadkiem z drabiny. Trzeba się jednak stawić przed WKPP — tu bowiem skierowała swój ostatni elaborat matka, skargąc się na córkę. Przyczyna nienawiści staje się zrozumiała: pani

prokurator nie jest rodzoną córką, ale tylko pasierbicą, cierpi zaś nie za własne winy, lecz „błędy młodości” swego ojca...

Decyzja WKPP jest jednoznaczna, oczyszcza oczernioną z zarzutów. Wobec autorki paszkwilu komisja jest bezsilna, gdyż ta członkiem partii nie jest. Z szeregów PZPR usunęto ją już dawno za niewłaściwe zachowanie się wobec innych i ciągle rozbróbki.

Co zrobić ze schodami, których już nie ma, bo porabiano je na kawałki, aby nie sposób było ich ponownie zamontować? Najlepiej byłoby zrobić drugie, żelbetowe, ale czy i te nie zostałyby zniszczone?

Nowe schody wymagają nowego projektu, starych, chodzenia po urzędach, a przede wszystkim dalszych nakładów finansowych. Skąd wziąć pieniądze, jak zapewnić materiały i ludzi do pracy, których właścicielka parteru posesji może po prostu wygonić?

Mimo to schody jakoś udało się zbudować. Wydział architektoniczno-budowlany projekt zatwierdził, komisja orzekła, że schody są zbudowane zgodnie z przepisami. Powódka oczywiście natychmiast wniosła odwołanie; równocześnie ruszyła lawina skarg, donosów i anonimów, tym razem już nie tylko na panią prokurator, ale na sąd, urząd miasta, milicję.

W sądzie zaś dalej toczą się sprawy o konfiskację darowizny, o zniesienie współwłasności i podział budynku. Pani prokurator ma już dość życia w rodzinnym domu i szukania dla siebie sprawiedliwości. Przewlekła choroba zrobiła swoje, dołączyło się wyczerpanie nerwowe. Przechodzi czasowo na rentę, czekając na finał. Kiedy skończą się procesy, pomówienia, kłopoty rodzinne, kiedy własny dom, dom rodzinny będzie nim naprawdę, a nie tylko z nazwy?

ZWIĄZEK PODHALAN

W numerze z 3 maja zaczęliśmy wędrowkę wśród stowarzyszeń społeczno-kulturalnych — licznych i żywych w naszym regionie. Zupełnie wyjątkowe miejsce trzeba tu przyznać Związkowi Podhalań. Jakże jednak przedstawić te organizacje utalentowanych twórców, działaczy kulturalnych, organizatorów życia społecznego — od kilku pokoleń wkorzoną w rodzimą glebę? Książkę trzeba by napisać, by oddać sprawiedliwość Podhalanom stowarzyszonym i z potrzeby serca, i z rozumnego namysłu. Więc postanowiliśmy — niczego od siebie nie dodając — przedstawić dwie wypowiedzi: prezesa Zarządu Głównego, mgra inż. JÓZEFA STASZELA oraz jednego z redaktorów „Podhalanki”, mgra STANISŁAWA KRUPY.

Pierwsza z nich jest najbardziej skróconą informacją o historii i terażniejszości Związku; druga — sprzed czterech lat — kreśli powinności aktywny stowarzyszenia.

Dzisiaj, gdy tyle fałszywych wartości nie wytrzyma próby czasu, warto wiedzieć, że są obok nas rzeczy cenne, zjawiska zasługujące na autentyczny szacunek. Związek Podhalań to trwały element naszego pejzażu kulturalnego i społecznego, dowód ciągłości tradycji, pomost między przeszłością, a pogmatwaną terażniejszością.

Józef Staszela

HISTORIA I TERAŻNIEJSZOŚĆ

Podhalański ruch regionalny zrodził się przy końcu XIX wieku pod wpływem społeczno-kulturalnej działalności Tytusa Chałubińskiego, Stanisława Witkiewicza, Władysława Matlakowskiego, Bronisława Dembowskiego i szeregu innych, oczarowanych surowym pięknem tego regionu i jego oryginalną kulturą. W wyniku tej działalności umocniła się świadomość narodowa i zrozumienie wartości regionalnej kultury ludowej wśród ludności góralskiej, jak również dążność do jej zachowania i rozwoju. Doprowadziło to do powstania pierwszego stowarzyszenia regionalnego w dniu 4 marca 1904 roku pn. Związek Górali w Zakopanem.

Statut określał cele stowarzyszenia: szerzenie oświaty, wstrętności, zamilowanie do uprawy roli, ogrodnictwa, pszczelarstwa, staranie o rozwój tzw. stylu zakopiańskiego w budownictwie, zamilowanie do stroju góralskiego, zachowywanie zwyczajów i obrzędów ludowych, rozwijanie działalności gospodarczej i kulturalnej.

Ruch ten zaczął się na terenie Zakopanego, lecz wkrótce objął całe Podhale, doprowadzając w roku 1911 do pierwszego ogólnopodhalańskiego Zjazdu Podhalań. Zjazd ten trwał dwa dni, był wielką manifestacją kulturalno-regionalną i patriotyczną.

Najważniejszym akcentem patriotycznym było odsłonięcie pomnika Władysława Jagiełły na rynku zakopiańskim, zaprojektowanego społecznie przez współzałożyciela Związku, wybitnego artystę i działacza społecznego, Wojciecha Brzęga, oraz jubileusz 25-lecia pisarskiej działalności Kazimierza Przerwy Tetmajera. W organizacji i przebiegu Zjazdu wzięli czynny udział wybitni podhalańscy działacze i twórcy, jak np. Kazimierz Przerwa Tetmajer, Władysław Orkan, Andrzej Galica, Feliks i Jakub Zachemski, Józef Rayski, Juliusz Zborowski, ks. Ferdynand Machaj.

Zjazd powołał komitet wykonawczy wniosków i uchwał zjazdowych, w skład którego wchodził działacz z całego Podhala. Należy tu podkreślić, że komitet działał prężnie i doprowadził do rozwoju handlu, przemysłu i usług, zakładania kółek rolniczych i kas Reifeisena, zainicjował szkoły rolniczej, rozwoju przemysłu mlecznego, koszykarskiego, domowo-pięcennego, szkół ludowych w gminach, niedzielnych i wieczorowych kursów dla analfabetów, czytelników i wypożyczalni książek we wszystkich gminach powiatu nowotarskiego. Zorganizował zbieranie zabytków języka, piśmiennictwa, muzyki, zdobnictwa na Podhalu z przeznaczeniem dla Muzeum Tatrzńskiego, zlecił wydanie J. Kantorowi opracowania słownika gwary podhalańskiej, a swojemu Prezydium — wydanie książki z utworami Przerwy Tetmajera, co zostało zrealizowane już w roku 1912. Ponadto organizował drużyny podhalańskie w strojach regionalnych, które były zalążkiem późniejszych legionów. Wydawano także „Gazetę Podhalańską” od 1913 roku.

Następnie Zjazd Podhalań odbył się w 1912 roku w Nowym Targu w 1913 w Czarnym Dunajcu. W trzecim zjeździe obok inteligencji wzięli masowo udział chłopcy podhalańscy i oddał ruch ten będzie miał na trwałe taki przebieg społeczny.

W odrodzonej Polsce w wyniku działalności Związku Górali w Zakopanem i ruchu podhalańskiego w postaci Zjazdów Podhalań i ich komitetów wykonawczych zorganizowano IV Zjazd Podhalań, który był pierwszym walnym zebraniem Związku Podhalań i pod tą nazwą związek został zarejestrowany przez władze odrodzonej Polski w 1919 roku. Pierwszym jego prezesem został Jakub Zachemski.

Jak widać Związek Podhalań stał się stowarzyszeniem-kontynuatorem i spadkobiercą dotychczasowego ruchu regionalnego zapoczątkowanego przez Związek Górali w Zakopanem, rozwinętego szeroko przez Zjazd Podhalań i ich komitety wykonawcze — dlatego w roku 1979 obchodzono 75. rocznicę podhalańskiego ruchu regionalnego i 60. rocznicę Związku Podhalań.

Statut Związku Podhalań niewiele różnił się od statutu Związku Górali, stał się jednak bardziej otwarty, a działacze Związku byli inicjatorami ogólnopolskiego ruchu regionalnego, propagowanego przez Władysława Orkana w postaci tzw. Związku Ziemi. Częściową kontynuacją tej myśli było Święto Gór, organizowane kolejno w różnych góralskich miejscowościach Polski.

Począwszy od roku 1921 rok rocznicę Związku Podhalań organizuje kolejne zjazdy w różnych miejscowościach Podhala. Była to bardzo słuszną ideą, wybitnie ożywiała aktywność miejscowości, w których miał się odbyć kolejny zjazd: z reguły w wyniku realizacji uchwał zjazdowych pozostawała trwała pamiątka w postaci np. szkoły rolniczej, szkoły ludowej, meczarni, kościoła, drogi itp., które swoją rolę pełniły do dnia dzisiejszego.

Związek Podhalań rozszerzył się poza powiat nowotarski, sięgając od Żywca aż po Stary Sącz, gdzie w roku 1937 powstało ognisko Związku Podhalań. Jeden z zjazdów, w roku 1929, odbył się w Żywcu.

Interesującą formą działalności Związku było budzenie zamilowania do uprawiania sportu, np. powstanie pierwszego wyciecznego klubu sportowego w Rabce oraz organizowanie wieczornych góralskich, na które zapraszano z oddziałami wybitnych ludzi, a miejscowe zespoły amatorskie prezentowały swój dorobek.

Należy zaznaczyć, że równolegle działali Związek Górali w Zakopanem stanowiąc jakby jedno z ogniw Związku Podhalań, zachowując jednak do końca odrębność organizacyjną. Dopiero na ostatnim przed II wojną światową XXXII Zjeździe w sierpniu 1939 roku w Kościelisku, gdzie gospodarzem był znany poeta i działacz ludowy, Stanisław Nędra Kubiniec — Związek Górali w Zakopanem został włączony do Związku Podhalań jako jego ognisko. Do praktycznej realizacji tej uchwały nie doszło z powodu wybuchu wojny, kiedy to — zgodnie z decyzją rządu polskiego — Związek Podhalań zawiesił działalność.

W czasie okupacji hitlerowskiej działacze Związku wykazywali wysoce patriotyczną postawę, przypominając to niejednokrotnie życiem w obozach koncentracyjnych i starając się osłabić wyniki propagandowej działalności okupanta, pragnącego utworzyć „republikę góralską” właśnie na Podhalu, którego tradycję wolności i patriotyzmu znane były powszechnie w Polsce. Miało to — zdaniem okupanta — wpłynąć na załamanie się Polaków.

Fakt zdrady jednego z działaczy Związku Górali — Wacka Krzeptowskiego i kilku innych górali mniej znanych, z reguły słabych i wykończonych, inspirowanych przez właścicieli, obok okupanta, twórców tego pomysłu — Wiedera i Szatkowskiego, w Warszawie, nie umniejsza znaczenia ofiary krwi i życia oraz patriotycznej postawy społeczeństwa Podhala, a zwłaszcza działaczy Związku Podhalań. Wyraziło się to szczególnie masowym udziałem górali w służbie kuczerskiej, w gromadnym przedsięwzięciu się do Armii Polskiej na obczyźnie i w walkach na wszystkich niemal frontach europejskich, w działalności licznych organizacji podziemnych, w sabotażu gospodarczym, wreszcie w upartej walce o kartę rozpoznawczą polską.

Niestety, noszenie przez Wacka Krzeptowskiego stroju góralskiego i propaganda niemiecka, eksploatująca jego zdradzieckie czyny, uczyniły wiele szkody moralnej podhalańskiemu ruchowi regionalnemu. Grupy zdradców, która przecież zdarza

się w każdym regionie Polski — Podhale może przeciwstawić setki i tysiące bohaterów: Helenę Marusarzówną, Bronisławę Czecha, Augustynę Suskiego, Stanisława Marusarza, Antoniego Zachemskiego, Józefa z Machajów Mikową, owianego legendą Józefa Krzeptowskiego i wielu innych, których trudno tu wymienić. Tak więc ludność góralska na Podhalu zdała egzamin w godzinie dziejowej, dramatycznej próbie, jaką były lata 1939 — 1945.

Po wojnie Związek wznowił działalność nie tak spontanicznie, gdyż strój góralski Wacka Krzeptowskiego zbyt kosztownie przywoływał wspomnienia.

Ukazała się ponownie „Gazeta Podhalańska”. Niestety, w roku 1948 Związek musiał zaprzestać działalności, gdyż okres stalinowski nie sprzyjał organizacjom typu regionalnego. Pozostała jedynie działalność na polu kultywowania folkloru. Dojść pod koniec 1957 roku, po dłuższych staraniach dawnych działaczy Związku, w atmosferze odrzucenia się życia społeczno-politycznego i kulturalnego w całym kraju, doszło do restrykcji Związku. Dla uszanowania tradycji, walne zgromadzenie było kolejnymi zjazdami — począwszy od XXIV w 1957 roku. Ostatni zjazd w 1979 roku był XXXII Zjazdem Związku Podhalań.

Obecnie Związek Podhalań liczy 26 oddziałów, a od roku 1979 Zarząd Główny ma siedzibę w Nowym Targu w ratuszu miejskim, z którym to budynkiem historia Związku ściśle się łączy.

Związek Podhalań objął swoją działalnością całe Podhale z jego subregionami: Orawą, Spiszem, Ziemią Pieniąską i Gorczańską; jest również oddział w Krakowie i ognisko w Warszawie. Ogółem Związek liczy 2188 członków.

Związek zorganizował i prowadzi samodzielnie lub roztacza patronat nad 24 zespołami regionalnymi, prowadząc nie tylko naukę tańca, śpiewu i muzyki, lecz również pracę wychowawczą, zmierzającą do głębszego poznania kultury swojego regionu, a tym samym jej umiłowania.

Wzrosła wybitnie rola spraw kulturalnych we wszystkich oddziałach Związku; obok muzyki, tańca, śpiewu organizują one przedstawienia i odczyty w szkole, jaka przed wojną nie była do pomyślenia.

Z nielicznymi wyjątkami wszystkie oddziały prowadzą systematycznie „Posiadaj” — imprezę, którą śmiało można nazwać uniwersytem ludowym i to na wysokim poziomie.

Niemal wszystkie oddziały są organizatorami lub współorganizatorami oryginalnych, ciekawych imprez lokalnych o charakterze regionalnym np. *Poronińskie Lato* w Poroninie, konkurs potraw regionalnych i konkurs darcia pierza „Prucki” w Łopusznej, *Pieniąska Jesień* w Szczawnicy, konkurs kapel i zawody narciarskie w Nowym Targu, *Przednówek* w Polanach, *Przegląd Zespołów Teatralnych* w Czarnym Dunaju, *Sabotaż Bojania* w Bukowinie i inne.

Działacze Związku czynnie włączają się w prace rad narodowych i władz terenowych, kierując się zaleceniem statutu: „Naczelnym celem Związku jest służba. Ojczyźnie poprzez dbałość o moralny poziom mieszkańców regionu oraz kulturalny i materialny jego rozwój”.

Niestety, w powojennej rzeczywistości możliwości oddziaływania Związku na rozwiązywanie gospodarcze i polityczne kulturalną w jej szerokim pojęciu były celowo ograniczane, z wielką szkodą dla Podhala. Z niestrudzoną uporem Związek Podhalań i te działalności rozwijał, jednak ze zrozumiałych względów mało skutecznie. Czynem społecznym przy poparciu społeczeństwa zbudował w Ludzimiru w pałacu Dom Podhalański, który zgodnie z założeniami stanie się — i częściowo już jest — centralnym ośrodkiem kultury ludu podhalańskiego.

Po długich staraniach w roku 1980 Związek uzyskał zezwolenie na wydawanie stałego czasopisma „Podhalanka”, która ukazała się pięć razy w postaci jednodniówki wielkim trudem, staraniem i pracą — jest ona kontynuacją redagowanej przez 37 lat „Gazety Podhalańskiej”. Pismo to ma za zadanie nie tylko inspirować, integrować i zespalać wielki społeczność Podhala w pracy dla rozwoju tej ziemi, lecz jest także ważnym łącznikiem między szeroką emigracją, która zorganizowała się w Związku Podhalań w USA (51 lat), w Kanadzie i w Anglii.

Związek nasz utrzymuje z bratnimi Związkami Podhalań za granicą bliski kontakt oraz ściśle współpracuje z innymi stowarzyszeniami, a w szczególności ze Stowarzyszeniem Twórców Ludowych i ze Związkiem Literatów Polskich oraz z wieloma placówkami profesjonalnymi i organami władzy, których zakres działalności pokrywa się ze statutowo określonymi zadaniami Związku i jego terytorialnym zasięgiem.

Ze względu na szczupłość miejsca w niniejszym opracowaniu nie uwzględniono wielu form działalności Związku Podhalań — zainteresowanego Czytelnika odsyłamy do numerów „Podhalanki”, jak również do literackich pozycji redaktora Włodzimierza Wnuka, gdzie można szerzej zapoznać się z działalnością i historią Związku Podhalań.

ZWIĄZEK PODHALAN

Stanisław Krupa

TROSKA O PRZYSZŁOŚĆ

Zmiany zachodzące w regionie podhalańskim zmuszają Zarząd Związku Podhalań i wielu myślicy ludzi do poważnego zastanowienia się nad sprawą naszej regionalnej kultury i nad tym, jaki jest i jaki powinien być udział nas, Podhalań, w utrzymaniu rozwoju tej kultury. W ostatnim czasie jesteśmy bowiem świadkami niezaprzecznego procesu jej niwelacji.

Pod naporem współczesności — w rdzennych wsiach podhalańskich milnie muzyka, śpiew i gwar, ginie tradycja, obyczaj i taniec podhalański, budownictwo regionalne oraz zewnętrzny i wewnętrzny wystrój domów.

Czyżby ludowa kultura Podhala, stanowiąca cenne ogniwo w kulturze ogólnonarodowej, będąca znakomitą spuścizną po naszych przodkach, której zazdroścą nam inne regiony Polski oraz zagranicą, miały wyginąć z naszego życia i naszych domów rodzinnych na scenę sal widowiskowych, do skansenów i muzeów? A skoro tak się dzieje, czy to nie my sami rugujemy ją z naszego życia i czy nie my sami wydajemy skazujący wyrok?

Jesteśmy pokoleniem, w którym proces niwelacji postąpił bardzo naprzód, a zatem jesteśmy wspólnie odpowiedzialni za zło, które postępuje, ale też dlatego również szczególnie zobowiązani, by temu złu zaradzić. Nie wolno nam dopuścić do zerwania nici tradycji, przekazanej nam przez naszych dziadków i ojców, tradycję tę winniśmy przekazać naszym dzieciom.

Jakieśby środki zaradcze w obecnym stanie rzeczy wydały się słusze i wskazane do osiągnięcia tego celu? Na pewno wielokrotnie i złożone — spróbuję wymienić w punktach zasadniczą ich część:

1) W żadnej miejscowości podhalańskiej nie powinno zabraknąć ludzi, którzy by na miejscu — w oddziałach Związku Podhalań, przy szkołach, świetlicach, klubach itp. zajęli się organizowaniem kółek o zainteresowaniach regionalnych z muzyką, śpiewem, tańcem, występami, przedstawieniami, gawędami, posiadami.

2) Wykształcona młodzież podhalańska winna — o ile możliwości — pozostać na Podhalu, by w myśl wskazań Orkanowskich swoją pracą przyczynić się do jego podniesienia.

3) Budownictwo to wizytówka Podhala. Należy bezwzględnie unikać budowy domów mieszkalnych, budynków gospodarczych i innych o dachach płaskich i wyglądzie nie dostosowanym do regionu. Inżynierowie architektury i projektanci, nie włączając w krajobraz podhalański budynków o kształtach pudeł czy innych nowotworów architektonicznych! Mieć zawsze przed oczyma zgodną strzeżoność tatrzańskich grani i dachów górskich. Ogromną ozdobą domów mieszkalnych są meble i sprzęt góralski — i tak trzeba by je urządzać.

4) Ubiór podhalański jest drogi, ale za to nieporównanie piękny. Zaginął w miastach, ginie

na wsi. Trudno mówić o tym, żebyśmy w nim chodzili na co dzień, do biur i zakładów pracy, ale niech on będzie strojem odświętnym naszych gości i gościńców, chłopów i dziewcząt podhalańskich wsi i nas wszystkich przy podniosłych okazjach. To nasz strój do ślubu, chrzcina, wesela i spotkań towarzyskich.

5) Nie powinniśmy malpować. Jest czas, by z ubioru podhalańskiego ostatecznie usunąć obcą góralszczyznę modę noszenia wzorzystych swetrów i chustek przywiezionych z Ameryki, pochodzenia chińskiego i japońskiego.



Nie zarzucajmy domowego wyrobu sukna i płótna! Oby na naszych jarmarkach górskich, w naszych domach towarowych i sklepach znalazło się dość sukna i tybetu, by starczyło na stroje dla wszystkich mężczyzn i kobiet, chłopów i dziewcząt podhalańskich. To ważny postulat pod adresem władz, przemysłu i handlu!

6) Poeci i pisarze podhalańscy niech piszą gwarą sztuki, opowiadania, satyrę i wiersze dla ludu podhalańskiego, budzące poczucie wartości i umiłowanie własnej kultury, ośmieszające przejawy malpowania i szeptania. Malarze i rzeźbiarze — twórcy ludowi, rękodzielniczy niech utrwalać autentyczne piękno podhalańskie.

7) Wyższa stopa życiowa niech nam będzie pomocą w utrzymaniu podhalańskiego stylu życia, a nie powodem zaparcia się kultury własnego podhalańskiego środowiska.

8) Zwalczajmy upośledzający nas nałóg pijactwa i zachowajmy góralską rzetelność i życzliwość dla każdego.

9) W imprezach podhalańskich — występach, przedstawieniach, jasełkach, obrzędach bierzmowy udział, by je poprzeć i wzbogacić swoje zainteresowania regionalne.

10) Przywróćmy — jeśli zaginęły — podhalańskie zwyczaje, koledy z turoniem, podhazy, wesela z muzyką góralską i cepinami, majenie domów, palenie ognia w Zielone Świąta itd.

11) Chronimy przed zniszczeniem i zachowajmy starodawne sprzęty, obrazy, ubiory, książki i inne zabytkowe przedmioty, gdyż stanowią one cenny dokument naszej kultury.

12) Ratujmy od zapomnienia pieśni, gawędy i opowiadania ludowe. Oby w każdej miejscowości znaleźli się ludzie, którzy by zajęli się ich spisaniem i prowadzeniem bieżącej kroniki wydarzeń. Ogromne cenne usługi na tym polu może oddać szkoła m.in. poprzez drużyny harcerek.

Związek Podhalań przystępuje do systematycznego gromadzenia tych materiałów dla celów ich wydania oraz opracowania słowników gwary i monografii dla każdej miejscowości Podhala.

13) Domy kultury, świetlice i kluby winny uwzględniać w swoich programach pracy m.in. następujące podstawowe zadania:

— utrzymanie zespołów regionalnych oraz budzenie w ludności umiłowania ludowej muzyki, pieśni, tańca, gwary, stroju, tradycji i obyczajów,

— urządzenie przedstawień, wystaw i pokazów regionalnych strojów, sprzętu, wyrobów, zdobnictwa i in.;

— organizowanie kursów wiedzy o Podhalu, nauki muzyki, śpiewu, tańca, malowania na szkle, zdobnictwa;

— dokonywanie archiwalnych nagrań muzyki, pieśni i gwary oraz gromadzenie archiwalnych zdjęć.

14) Potrzeba zbiorowego wysiłku, uświadomienia i dobrego przykładu. Każdy obywatel powinien zastanowić się nad tym, co może zrobić dla Podhala i kultury podhalańskiej.

15) Całe Podhale to wspaniały region turystyczno-wypoczynkowy, którego walorami są góry, lasy, łąki, pola — otwarta przestrzeń, czyste powietrze i nie zanieczyszczone ściekami wody w rzekach i potokach oraz lud podhalański i jego rodzima kultura. Przemysł lokujmy tu tylko taki, który by odpowiadał charakterowi regionu.

Powstanie u stóp Tatr wielkiego miasta byłoby fatalne. Musimy ustrzec się, by przez nieprzemysłową nadmierną rozbudowę miast, w szczególności Nowego Targu i Zakopanego, nie doprowadzić do połączenia się ich w jeden aglomerat miejski, wchłaniający po kolei okoliczne wsie podhalańskie. Oznaczałoby to zagrożenie wszystkich tych wartości, jakie winno zachować Podhale. Niech staną się one szczególną troską naszych władz i nas wszystkich, byśmy nie zaprzepaścili przyszłości Podhala.



Zdjęcia: Archiwum

* PANORAMA REGIONU *

Jerzy Leśniak

Dziesięć godzin z naczelnikiem

Jan Fyda, 42 lata, żonaty, dwoje dzieci, zawód wyuczonego — technolog żywności, były prezes grybowskiego GS-u, od 1976 roku naczelnik miasta i gminy Grybów. Przychodzi do urzędu z reguły przed godziną siódmą. Już wtedy w korytarzu oczekuje go kilkanaście osób.

— Poniedziałek to straszny dzień. Sam nie wiem dlaczego... Może jest to rezultat niedzielnych dyskusji przy rodzinnym stole. Ludzie postanawiają, aby nazajutrz, skoro świt, zjawić się w urzędzie. Już w piętek zaczynam przeżywać sprawy, które mnie czekają w poniedziałek. Przyjmuję bez przerwy czterdzięci, pięćdziesiąt osób. Wyczerpanie fizyczne i psychiczne po takim dniu jest olbrzymie...

Pierwszy interesant. Stanisława Grucha z Kąkolew złożyła skargę na jedno z gospodarstw specjalistycznych, z którego ścięki zalewają jej pole. — Przyjadę do was w środę. Sprawę załatwimy na miejscu — odpowiada naczelnik.

Maria Biskupiec, Antoni Mendof i Emil Motyka przyszli z zapytaniem: — Jakże to, zostaniemy bez cukru? Według przepisów kartki na cukier otrzymują ci rolnicy, którzy w ubiegłym roku sprzedali państwu produkty na kwotę powyżej 15 tysięcy złotych.

— Naczelniku, sam pan wie, że nastawiliśmy się na hodowlę bydła opasowego, termin chowu jest dłuższy, trudno mi rok w rok oddawać za 15 tysięcy. Dwa lata temu sprzedałem byczki za ponad 20 tysięcy...

— Mąż chory, dzieci w mieście, trudno z dwu hektarów złej ziemi wyciągnąć aż tyle.

Naczelnik obiecuje przyznać kartki na cukier ze względu na szczególne warunki. Trzeba tylko napisać podanie i dołączyć do niego odpowiednie zaświadczenia.

Wiele osób przychodzi po „cymencie”, między innymi Stanisław Świerż z Wawrzki, Zygmunt Ogorzałek z Binczarowej, Stanisława Gomułka ze Stróż. Naczelnik bezradnie rozkłada ręce: — Nie mam jeszcze rozdzielnika na drugi kwartał, proszę cierpliwie czekać na decyzję.

Rocznie urząd wydaje trzysta postanowień na budowy prywatne. Jeżeli liczyć, że na jedną budowę przypada minimum dziesięć ton cementu, to w sumie najskromniejsze zapotrzebowanie dla całej gminy szacować należy na trzy tysiące ton. — W pierwszym kwartale otrzymaliśmy raptem czterysta ton — mówi naczelnik.

Wchodzi Stanisław Żemiński z Ptaszkowej: — Czy można na małą chwilę? Przyszedłem w imieniu siedmiu gospodarzy z prośbą o przepust. Budujemy drogę do pól, trzeba przepustami wzmocnić mostek, aby kombajn mógł przejechać...

— Załatwione — odpowiada naczelnik. Podnosi słuchawkę telefoniczną, wydaje odpowiednie polecenie.

Czesława Szczecina ze łzami w oczach: — Panie naczelniku, dlaczego wstrzymaliście budowę drogi we Floryncach, tam pod górą, gdzie ja mieszkam? Zezwierowano tylko kilkanaście metrów... Można by przecie podpisać i chociaż kawałek do chałupy podciągnąć. Dzieciocioroł bydlę oddajemy! Chłopak powiedział, że nie zostanie na gospodarce, jeżeli nawet do niej dojść nie można.

Odpowiedź: — Przyjadę do was we czwartek, czekajcie około południa...

Borys Skarłosz żali się na soltysa z Florynki, że nie chce dać mu drewna.

— Ale to zebranie wiejskie decyduje o przydziale drewna...

— Panie, wiadomo, że wszystkim rządzą soltysy.

Kolejna sprawa. Właścicielowi gruntu coś się odmieniło i nie pozwala Jakubowi Sekule z Grybowa na przejazd

do pola, z którego ten wywozi rocznie osiem ton siana.

— Jeżeli się z nim nie dogadasz, możesz jeszcze w sądzie starać się o drogę konieczną. Ja niestety nie mogę ci pomóc.

Przyszedł stary Krok z Białej Niżnej: — Mam siedemdziesiąt jeden lat, żona sześćdziesiąt. Gospodarka — trzy hektary. Chłopaka chcę nam brać do wojska. Chodzi o to, żeby został. Ma dwadzieścia trzy lata, szkołę rolniczą...

— No, dobra. Będziemy reklamować.

Jadwiga Janusz: — Ja znowu w sprawie mieszkania. Tyle osób na kupie, tęściowa nie daje spokoju. Chłopa pochowałam i mnie tam wszystko jedno, ale dzieci... Żeby choć gdzie uczyć się miały.

Naczelnik zapisuje do zeszytu problemy kolejnych interesantów. A to kredyt z banku spółdzielczego dla Edwarda Mężyka, odroczenie opłat elektryfikacyjnych, wyjaśnienie skargi za nieprawidłowe obliczenia podatków, to znów przyzreczenie interwencji w sprawie sprzedaży mleka „od tyłu”, w magazynie sklepu nr 15 na osiedlu XXX-lecia.

Godzina jedenasta. Naczelnik przerywa przyjmowanie — jak określa to sekretarka — stron. Udajemy się do pawilonu handlowego, aby wziąć udział w posiedzeniu Rady Nadzorczej Gminnej Spółdzielni. Już i tak spóźnieni...

Odnutowuję fragment sprawozdania księgowej Elżbiety Niepsuj: „w przeprowadzonych ostatnio 171 inwentaryzacjach w sklepach i magazynach wykryto 52 niedobory na sumę 620 tysięcy złotych... Rozlega się zdenerwowany głos radnego Władysława Obrutę: — Niedobory... Jak my to delikatnie nazwywać. Na nikim już to nie robi wrażenia. Dlaczego nie powiemu po prostu: kradzież lub karygodne marnotrawstwo! Weźmy taki magazyn nawozowy obok stacji kolejowej. Leży tam sterta nawozów, worki popękane, deszcz

wszystko wypłukuje. Gdzie jest nadzór, pytam...

Naczelnik: — Ile w ubiegłym roku woda wypłukała nawozów?

Księgowa: — W magazynie nawozowym zabrakło soli potasowej za 44 tysiące złotych!

Dyskusja trwa. Rozważana jest sprawa zamknięcia restauracji „Jaworzynka” w Ptaszkowej, cieszącej się niechlubną sławą przybytku pijaństwa. Z drugiej strony bez alkoholu zakład „pojedzie” na deficycie. Głosowanie. Zapada decyzja o zamknięciu lokalu.

Godzina czternasta. Prezydium Miejsko-Gminnej Rady Narodowej, Kierownicy jednostek gospodarczych relacjonują swoje kłopoty.

Jacek Marczyk, zastępca kierownika służby rolnej: — Brakuje nam owsa, mieszanek traw i koniczyzny oraz pszenicy jarej... Są chętni na zakup cieląt, ale skąd je wziąć? Na ostatnim spędzie kilkudziesięciu chłopów pytało o cielęta, mieliśmy ich tylko jedenaście...

Józef Maślak, dyrektor SKR, narzeka na braki w ogumieniu i częściach zamiennych do ciągników i rolniczych obronikowych: — Robimy co się da, zlikwidowaliśmy trzy traktory, trochę części się zbierało.

Jan Kocemba z GS-u: — Przewidujemy spadek produkcji trzody chlewnej i bydła. Najgorzej będzie w trzecim kwartale. Panie naczelniku, jak odciągnąć ludzi od uboju cieląt, czy ja wiem, może przez system ulg podatkowych, nagród? Czy są to na fundusze?

Przewodniczący rady narodowej — Tadeusz Zagórski pyta o najbardziej niepewne punkty realizowanego planu społeczno-gospodarczego miasta i gminy.

Naczelnik: — Wciąż opóźniona jest rozbudowa piekarni w Grybowie, na remont czeka ulica Zielona, w Stróżach wali się most, powiększa się deficyt wody...

Przewodniczący: — Czy plan jest realny? Przecież nie można zrealizować wszystkiego.

Naczelnik: — Staram się usatysfakcjonować wszystkich. Wiecej, jak każde środowisko naciska.

Rzut oka na zegarek — mija dziesiąta godzina pracy naczelnika Jana Fydy. Spiesz się teraz na spóźniony obiad, ale nieprędko zakończy dzień pracy: zabiera ze sobą do domu pękaty zeszyt notatek do przejrzania.

Powiedzmy sobie otwarcie: ostatnimi czasy uaktywniły się w Polsce określone kręgi, dla których atmosfera zaufania między władzą a społeczeństwem stanowi przystawioną sół w oku. Kręgi te rozsiewają oszczerce pogłoski, jakoby proces demokratyzacji nie objął jeszcze myślistwa, które rzekomo wciąż jest sportem dla wybranych. Długotrwałe różnice szczebli jakoby polują sami, a innym nie dają; hasło „dwururka dla każdego”, rzuczone nieprzez „Solidarność”, związki branżowe i dotychczasowe nie znalazło odpowiedniego odzewu na górę, która najwyraźniej pragnie zachować dla siebie wszystkie ambony, przynajmniej te leśne. Zapytujemy z całą stanowczością: czemu ma służyć taka demagogia? Przecież każdy uczciwy Polak przyzna, że fakty zadają kłom owym pomówieniom, że również i w tej dziedzinie obserwujemy wyraźny postęp. Oto na przykład w Nowym Sączu otwarto właśnie sklep łowiecki — i przy tej okazji wyszło na jaw, ile naprawdę jest u nas myśliwych i z jakich warstw społecznych się oni rekrutują.

Otwarcie sklepu zapowiedziano na poniedziałek, na godzinę dziesiątą. Już o szóstej stanęła pod drzwiami grupa skromnie ubranych starszuch, zapewne oczekujących na wymarzony sztucer produkcji czechosłowackiej i bezdymny proch strzelniczy marki „Sokol”. Około siódmej trzydzięci pojawiły się pierwsze matki z dziećmi na rękach, zaś nieco później nadszły nieliczeni wpław, awdzie, mężczyźni.

O godzinie za piętnaście dziesiąta na rogu ulicy stanął Andrzej, fotograf. Przytulił się serdecznie.

— Co tutaj robisz? — zapytał — bo ja mam uwiecznić uroczystość otwarcia. O rany, ale jajo! — zawołał, zobaczysz zbitą tłum, napierający na drzwi. — Chodź, wejdziemy od tyłu.

Zapukaliśmy dyskretnie w żelazne wrota, ukryte pośród zwalów śmieci. Weszliśmy szybko, niczym spiskowcy.

Okazało się, że nie będzie uroczystego otwarcia z prezesem w krawacie, tradycyjną lampką wina i przecięciem wstęgi, ponieważ ceremonia ta odbyła się już w sobotę. Dzisiaj nie będzie

uroczystości, tylko wypuszczenie Klientów. Andrzej strapił się nieco, ale wyjął aparat i zaczął fotografować wnętrze sklepu.

Panowała tutaj atmosfera spokoju i powagi, rzekłbym nawet: pewnego dostojności. Na jedne ścianie wymalowane były świerki w zimowej szacie, a pośród nich przemijający się wilk. Na drugiej wisiały ogromne jelenie rogi (mówiąc fachowo wieniec lub poroże), zaś pośrodku lokalu królował stółik o supernowoczesnych kształtach, na nim zaś krystalowy puchar z bukietem krągłych, czerwonych tulipanów. Obok czyjaś dobra ręka ustawiła dwa

Antoni Krok

WIELKIE ŁOWY

pniaćki, pociągnięte lakierem nitro i puste w środku, aby strudzone łowca mógł przysiąść na chwilę i chłonąć majestat przyrody.

Oglądałem to cuda i czułem, jaką rozkosz i wewnętrzna satysfakcję może dać odwarowanie się od mas. Oto jeszcze przed dziesięcioma minutami tkwiłem pośród gawiedzi, bezradny, anonimowy... Teraz zaś przybrałem niedbałą, ale królewską pozę i spracuję sobie po pustym sklepie, patrząc niewiedzącym, obojętnym wzrokiem na wypchane kaczki, sowy, stopy towarów na półkach — i na ludzkie twarze za szybą. Myślę, że wspaniale nadawałbym się na kacyka.

Ach, ktoś opisał ostatnie minuty dzieciństwa salonu myśliwskiego!

Lecz oto pani kierowniczka dała znak, by otwierać. Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty swój róg bawoli, długi, cętkowany,

kręty jak wąż boa, oburącz do ust go przycisnął, wzgardził policki jak banie, w oczach krwawą zabłysnął, zasnął w dół powieki, wciągnął w głąb pól brzucha i do płuc wysłał z niego cały zapas ducha... i otworzył! Do sklepu wdarło się trzydziestu, może czterdziestu szczęśliwców, którzy natychmiast utworzyli struktury poziome; jedni żądali, by obsługiwać z prawej, drudzy rzecz jasna z lewej. Ktoś stękał z wysiłkiem, ktoś obiecywał dać komuś po mordzie, ktoś krzyknął hysterycznie, dzieci płakały. Słowem, było się nad czym zaszepieć... Więc zaszepieć się głęboko.

Następnego dnia przyszedłem do sklepu już nie jako dziennikarz, lecz prywatnie, na polowanie. Chciałem ustrzelić buty myśliwskie, odpowiednio do pracy terenowej, koszulę flanelową oraz specjalne łowieckie kalesony na 185 cm. Gacie były — bieluchne, jak świeży śnieg na leśnej polance. „Proszę zesz par” — szepnąłem głosem drżącym ze wzruszenia. Koszule również były, ale za małe. Chciałem także kupić sweter — bo ten, w którym chodzę, jest już tak wystrzępiony i podarty, że ludzie uważają mnie za snoba. Ale swetra nie dostałem — kupiłem więc myśliwską szczyrę, rzecz w sam raz dla prawdziwego mężczyzny; z czerwioną rekożycją i blokada ostrza, wspaniałą, gerlachowską. Gdybym takie cacko dostał dwadzieścia lat temu, pewnie nie mógłbym zasnąć ze wzruszenia. Ale jak wiadomo, wrażliwość tępieje z wiekiem.

Lecz i tak radość była wielka. Polaków cechuje optymizm; więc ktoś zapytał o kielbasę myśliwską, ktoś inny o żubrówkę, wywołując ogólną wesołość. Kobieta z niemowlęciem przysiadła na pniaku. Dziecko rozejrzało się uważnie i nagle zachichotało bezzębną buzią. Ja również byłem wesół, nie tylko z powodu kalesonów; inni reporterzy szukają egzotycznych tematów na Nowej Gwinei, w dzungli amazońskiej albo pośród hinduskich łowców głów — ja zaś mam nie mniejszą egzotykę tuż, za rogiem ulicy. Pojedźmy na łów, na łów, towarzyszu mój. Na łów, na łów, na łowy, do zielonej dąbrowy, towarzyszu mój — śpiewała mi babunia. I rzeczywiście.

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

REDAGUJE
KRZYSZTOF DOBOSZ

Spór o odnowę

Artykuł w „Dunajcu” pt. „Przenoszenie socjalizmu z trybuny w życie” jest dobrym zaczynem myślenia nad procesem odnowy w naszym kraju. Na wstępie pozwolę sobie jednak zauważyć, że słowo „odnowa” ma dziś już dwa przeciwstawne znaczenia:

— negatywne, gdy mówi się, że pewna grupa osób po każdym wstrząsie politycznym (1956, 1970, 1980) „odnawia się”, czyli jak kameleon zmienia kolor, by utrzymać się w sferze preferencji materialnych, prestiżowych i innych;

— w znaczeniu pozytywnym — chodzi o działania zmierzające do utrzymania bytu narodowego, odnowy moralnej, nauczania się tolerancji, zdobywania umiejętności hierarchizowania celów i wartości.

Sprawą najważniejszą jest utrzymanie bytu narodowego zagrożonego, gdyż stoimy na granicy głodu, racjonujemy żywność. Konsekwencją tych ograniczeń może być pogarszanie się stanu zdrowotności (zwiększona zapadalność na gruźlicę, krzywicę, anemię).

Mówi się, jak wyjść z kryzysu żywotnościowego, ale nie umiemy się zacytować tego problemu kompleksowo, w powiązaniu z innymi dziedzinami życia — tak, jakby resort rolnictwa był władny samodzielnie załatwić ten problem.

Zadanie jednak pociągnięcia ekonomiczne nie uszokuje kraju, jeśli równoległe nie nastąpi odnowa moralna. Czytamy o nadużyciach stanowiących dla własnych zysków, o rozpasywaniu dygnitarstw, o grabieżach pod siecią „działaczka politycznych”. Ta niemoralna postawa rodziła z kolei kłiki, łapówkarstwo i wiele innych niemoralnych zjawisk.

Nauczanie się tolerancji i umiejętności dyskusji jest konieczne z tej przyczyny, że nigdy nie było i chyba nie będzie niebdeń ludzi czy grup społecznych o jednolitych poglądach i postawach. Są i będą ludzie o różnych światopoglądach, przekonaaniach politycznych i problem polega na tym, aby przekonywać jednych do naszych racji nie uważać drugich, nie traktować ich

z góry jak wrogów. Odnowa w tej sferze — to zrozumienie psychiki innych ludzi i poszanowanie ich godności.

Umiejętność hierarchizowania celów — to sięganie do tych wartości, które są istotne na przestrzeni dłuższego czasu. Tak patrząc, wartości materialne nigdy nie będą stanowiły celu samego w sobie. Wychowujemy przeto od nowa w szacunku dla wyższych celów, a warunki materialne traktujemy jako ułatwiające ich realizację. Dziś bowiem często istnieje fascynacja dobrami materialnymi traktowanymi jako wartość sama dla siebie.

MARIAN JANIGA
Ropa

„Za co płacimy podwyższone czynsze?”

W zamieszczonym pod powyższym tytułem liście poruszono pięć zagadnień: 1. lokalizacja osiedla Rewolucji Październikowej w Krynicy, 2. jego zagospodarowanie w zakresie zieleni, 3. wykonanie instalacji gazowej w budynkach wcześniej zrealizowanych, 4. ogrzewanie, 5. podwyżka czynszów.

Pokrótkie ustosunkowujemy się do wyżej wymienionych spraw:

1. Spółdzielnia Mieszkaniowa nie miała i nie ma decydującego wpływu na lokalizację osiedli czy nawet pojedynczych budynków. O powyższym decydowały i decydują Wydziały Budownictwa i Architektury Urzędów Wojewódzkich (aktualnie Wojewódzkie Zarządy Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich). Osiedle Rewolucji Październikowej powstało przed założeniem Spółdzielni Mieszkaniowej w Krynicy.

2. Osiedle miało być realizowane w dwóch etapach. Aktualnie niezupełnie zakończono etap I. Przedsiębiorstwa wykonawcze odstąpiły w ogóle (ze względu na brak mocy przerobowej) od zrealizowania zieleńców i częściowo małej architektury. Sprawa ta wielo-

krotnie była przedmiotem mediacji i sporów arbitrażowych. W rezultacie z inicjatywy Spółdzielni Mieszkaniowej przystąpiono do wykonania zieleńców w ramach czynów społecznych. Spółdzielnia dostarczała materiał (humus, drzewa, krzewy nasiona, nawozy itp.) i sprzęt. Niejednokrotnie w czynach tych brał udział pracownicy administracji spółdzielni. Z uznaniem stwierdzamy, że udział mieszkańców bloku nr 13 w w/w czynach był ogromny. Wielokrotnie na różnych zebraniach wyrażaliśmy im za to podziękowanie.

3. Część budynków osiedla powstała jeszcze przed wprowadzeniem na teren Krynicy sieci gazowej. Bezpośrednio po wprowadzeniu sieci gazowej na osiedle Rewolucji Październikowej, spółdzielnia jako pierwsza (na osiedlu tym jest kilka administracji) przystąpiła do zakładania w swoich budynkach instalacji gazowej. Po opracowaniu dokumentacji technicznej i po jej uzgodnieniu z odpowiednimi instytucjami, uzyskano na ten cel kredyt bankowy. Podkreślamy, że całość zadania realizowana była z funduszy spółdzielni i znacznego kredytu bankowego. Około 15 proc. lokatorów zaopatrzyło się indywidualnie w kuchnie gazowe o wyższym standardzie (np. z rożnem, w cenie ok. 5000 zł). Spółdzielnia dostarczała kuchnie typowe w cenie 1985 zł. Zgodnie z obowiązującymi zasadami, lokatorzy zobowiązani są do okresowego odnawiania wnętrza swoich mieszkań. Przewidując roboty instalacyjne, zawiadomiono mieszkańców na dwa lata przed rozpoczęciem robót, aby nie odnawiali swoich mieszkań, a prace renowacyjne wykonali po zakończeniu robót instalacyjnych. Kłódkę schodową i roboty zewnętrzne po instalacjach wykonała spółdzielnia mieszkaniowa. Instalacja gazowa realizowana była w latach 1975/76 przez przedsiębiorstwa państwowe z pełną dostawą materiałów (rury, przełączniki, reduktory itp.) i osprzętu (kuchnie, piece kapielowe, termity itp.).

4. Kotłownia osiedlowa administrowana jest przez Rejonowe Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej w Krynicy. Kotłownia ta opalana jest koksem. W wyniku dużych trudności w nabywaniu koksu w okresie 1980/81 wystąpiły zakłócenia w ogrzewaniu. Niejednokrotnie Spółdzielnia Mieszkaniowa we własnym zakresie starała się o koks dla RPGK. Na każdą jednak interwencję mieszkańców, komisynie (z udziałem przedstawicieli RPGK) sprawdzano temperatury w mieszkaniach. Nie stwierdzano jednak temperatury niższej niż 17–18°C.

5. Jest zasadą, że wysokość czynszu dla danego osiedla czy budynku ustala się przy jego oddawaniu do eksploatacji, na podstawie obowiązujących w tym czasie kosztów. Im starsze osiedle czy budynek, tym niższe są aktualne czynsze. Od kilkunastu lat nie przeprowadzono ich regulacji, dlatego też, ze zrozumiałych względów, Spółdzielnia podjęła się regulację tę przeprowadzić w roku bieżącym. Obecnie jednak, ze względu na protest mieszkańców wspomnianą regulację wstrzymano. Zagadnieniem tym zająć się ma nowo wybrana na ostatnim Walnym Zgromadzeniu Rada Spółdzielni. Ostatecznie zagadnienie to ma być rozpracowane do dnia 30.VI.1981 r.

Prezes Zarządu
Krynickiej Spółdzielni Mieszkaniowej
mgr inż. JAN PARADOWSKI

Naprawa: problem sieci energetycznej

W nawiązaniu do listu Hanny Ablewicz, zamieszczonego w „Dunajcu” z 5.IV.1981 r. uprzejmie wyjaśniamy, że elektryfikacji Naprawy dokonano w latach 1956/57 wg obowiązujących wówczas wytycznych, co przy obecnym obciążeniu nie może zapewnić właściwego zasilania i zaspokoić potrzeb mieszkańców Naprawy.

Problem ten znajduje się w centrum zainteresowania Rejonu Energetycznego Nowy Targ, który od kilku lat czyni wszelkie dla radykalnej poprawy stanu sieci energetycznej. Rejon jeszcze

w roku 1976 opracował wytyczne programowe, w wyniku czego zdołano umieścić w planie remontów kapitalnych na rok 1979 modernizację sieci w Naprawie.

Mimo pełnego przygotowania Zakładu Energetycznego Kraków do przeprowadzenia zamierzonych prac (łącznie z opracowaniem dokumentacji prawnej i technicznej) — ograniczenia przerobowe jednego wykonawcy tego typu robót („Eltor”) — nie pozwoliły na ich realizację w planowanym okresie.

Zaznaczyć należy, że plany inwestycyjno-remontowe układane są przy współpracy władz wojewódzkich danego regionu — w tym przypadku Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu, który nie wprowadził do planu tego zadania. Dopiero na skutek dalszych intensywnych wysiłków Zakładu Energetycznego na rzecz poprawy, a właściwie modernizacji sieci elektroenergetycznej w Naprawie — czynione są starania poprzez Wojewódzki Zarząd Inwestycji Rolniczych i „Eltor” o dodatkowe wprowadzenie do planu roku 1981 omawianego zadania. Obejmuje ono gruntowną modernizację połączoną z kapitalnym remontem, co wiąże się m.in. z budową 10 stacji transformatorowych, wymianą słupów i przewodów. Niezależnie od tego, dla częściowego złagodzenia trudności i podtrzymania stanu technicznego urządzeń — Rejon Energetyczny w Nowym Targu wykonał na terenie wsi Naprawa poszerzony remont bieży.

Żywimy nadzieję, że przy poparciu władz wojewódzkich nasze starania osiągną wreszcie pozytywny efekt ku zadowoleniu mieszkańców i sympatyków Naprawy oraz w równej mierze Zakładu Energetycznego Kraków.

Dyrektor
Zakładu Energetycznego Kraków
mgr inż. JÓZEF CURYŁO

„Po prostu — niesolidność”

W związku z notatką pod powyższym tytułem, zamieszczoną w nr-ze 8 tygodnika „Dunajec” z dnia 22 lutego br., Cech Rzemiosł Różnych w Nowym Sączu informuje, iż wezwany na posiedzenie Zarządu Cechu ob. Stanisław Adamowicz, prowadzący punkt usługowy tele-radiomechaniki „Fono-serwis” przy ul. Wawów 9 — kategorycznie zaprzeczył prawdziwości zarzutów podanych przez klientkę.

Zarząd Cechu w wyniku przeprowadzonego postępowania wyjaśniającego, w oparciu o posiadaną dokumentację nie dotrapuje się winy ob. Adamowicza i nie widzi podstaw do wyciągnięcia w stosunku do niego jakichkolwiek sankcji. Zarówno z treści notatki prasowej, jak i oświadczenia zainteresowanego rzemieślnika wynika niezbicie, że usługa nie dotyczyła naprawy zasilacza, a ograniczała się wyłącznie do wymiany wtyczki. Natomiast sam zasilacz sieciowy kupiony był w innym sklepie, a zatem trudno jednoznacznie przesądzać, czy został uszkodzony przez rzemieślnika, czy też posiadał już wcześniej wadę fabryczną.

Starysz Cechu
STANISŁAW SZEWCZYK

Dyżury prawne w redakcji „Dunajca”

„odbywają się w każdy czwartek, w lokalu redakcji w Nowym Sączu, przy ul. Żółkiewskiego 11, II piętro (nad ośrodkiem zdrowia). W godz. 12—13 radea prawny dyżurujący pod telefonem nr 238-90 udziela telefonicznych porad, zaś w godz. 13—15 osobiście przyjmuje zainteresowanych.

DUNAJEC 11

WSPOMNIENIE

14 maja minęła 51 rocznica śmierci Władysława Orkana. Pisarz zmarł w 1930 roku w Krakowie; pochowano go na Cmentarzu Rakowickim. W rok później trumnę z prochami przewieziono do Zakopanego, by złożyć ją na Cmentarzu Zasłużonych. Zamiast okolicznościowego, rocznicowego wspomnienia — poniżej relacja z kroniki zakopiańskiej z lat 1930—31, nadesłana nam przez p. Kazimierza Zajdę ze Skawiny:

„Ostatnią podróż Orkana poprzedziły uroczystości w Krakowie. W dniu 14 maja, wyznaczającym pierwszą rocznicę śmierci pisarza: akademią żałobną w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz mszą na Cmentarzu Rakowickim.

W dwa dni później, 16 maja, pochód żałobny mieszkańców Krakowa, odprowadzili zwłoki „dumaca z Poręby” na dworzec kolejowy. Uroczystości zamieniły się w jedną, wielką manifestację hołdu, oddanego prochom zmarłego. Trumna tonąca w powodzi wienieców i kwiatów spoczęła w osobnym wagonie towarowym, zamienionym na kaplicę żałobną. Miejsca w pociągu zajęła asysta złożona z delegacji władz, organizacji i instytucji społecznych. Pociąg-kondukt ruszył w drogę ku Tatrom. Od Suchoj, wkroczywszy w góry, pociąg zatrzymał się na stacjach, gdzie oczekiwali delegacje ludności góralskiej. Szczególnie piękne i wzruszające było powitanie zwłok w Suchoj, Chabówce, Rabcie Wyżnej i Poroninie. Witali Go i żegnali jednocześnie: muzyka, śpiewem i Izami... Drobne reze dźwięki szkolnej zasympływały trumnę majowym kwieciami. Powitanie w Zakopanem było równie wspaniałe. Tłumy ludności góralskiej zalegały już od południa ulice miasta. Przybyli tu pociągami, wozami, pieszo... bohaterowie Orkanowych powieści, ze wszystkich niemal wsi powiatu nowotarskiego, ze Spisza, z Orawy, z okolic Szczawnicy, Rabki, z rodzinnej Orkanowi Poręby. Przywiedli tu swoich synów i córki, by wspólnie oddać hołd Temu, który wyrósł z tej ziemi i „ukochoawszy lud biedny nad miarę” stał się jego dożgonnym obrońcą.

Trumnę przeniesiono na czterokonnym rydwan, przy którym straż honorową pełniło czterech gawdów. Przed karawanem szły gęsto orkiestry dęte, muzyki góralskiej, delegacje szkół, związków społecznych, miast i powiatów, wreszcie zastęp dwudziestu kilku księży. Za karawanem — rodzina zmarłego, z matką-staruszką, przedstawiciele władz centralnych z Warszawy, województwa, starostw, rzęsz przyjaćli i wielbiciele zmarłego i znów tłumy górali i nie-górali, tworząc długi pochód.

Nie wszyscy zmieścili się na starym, zakopiańskim cmentarzu. Tylko część obecnych zdołała się tam dostać, by wysłuchać pięknych mów pożegnalnych. Przemawiali m.in.: F. Gwiżdż, w imieniu Związku Podhalan, Związku Legionistów i ludu podhalańskiego, dyr. T. Malicki w imieniu Polskiego Towarzystwa Tatrzńskiego, gen. A. Galica imieniem wojska i pułków podhalańskich.

Po złożeniu wielkiego syna Pochara w grobie, w sąsiedztwie Sabalę, ks. Stolarczyka, Witkiewicza, Kasprowicza, Chabubńskiego — złożono na grobowiec całą górę wienieców. Jeszcze Obrochotowie zagrali górali „nutę żałobną”, skłoniono raz ostatni sznary...

Nie każde życie kończy się wraz ze śmiercią tego, komu było dane. Żyć można również w pamięci i w sercach przyszłych pokoleń, bowiem wieczność kończy się dopiero tam, gdzie zaczyna niepamięć. Dlatego — nie zapomnijmy...

KAZIMIERZ ZAJDA

Nieproszeni goście

Do mieszkania Włocha Arduino Daniela w miejscowości Monferrato już trzykrotnie wjeżdżały samochody osobowe, których kierowcy nie mogli się „wyrobić” na ostrym zakręcie w pobliżu domu pana Daniela. Właściciel pechowego mieszkania oddał w końcu sprawę do sądu, a urząd miejski musiał na swój koszt wykonać przy drodze wał ochronny.

Mięsa pełno, ale jakiego

W RFN trwa ostatnio cała kampania przeciw hodowcom zwierząt rzeźnych. Okazuje się, że chociaż gwałtownie przyspieszyć przyrost masy mięsnej, hodowcy podają zwierzętom różne hormony, antybiotyki, a także środki uspokajające.

Pierwsi uderzyli na alarm lekarze. Okazało się, że stosowanie różnych biologicznych i farmakologicznych szluzek prowadziło faktycznie do szybkiego przyrostu masy mięsnej, ale mięso to jest szkodliwe dla zdrowia.

Stwierdzono, że dłuższe konsumowanie takiego mięsa przyczynia się do powstawania chorób raka, u kobiet prowadzi do zaburzeń w układzie krwionośnym, a u mężczyzn może być przyczyną impotencji, a także źle wpływa na rozwój umysłowy dzieci.

Piłowanie muzyki

Trewor James z Manchesteru, skrzypek saksofonista, pianista i perkusista w jednej osobie, założył własną „najgorszą orkiestrę świata” Polega to mniej więcej na tym, że co jakiś czas zbiera się 24 muzyków którzy bez żadnych prób dają od razu publiczne koncerty. Falszuja przy tym niemilosierdzie, ale przecież o to chodzi. Ludzie przychodzą ponoć tłumnie na ich koncerty a niektórzy twierdzą nawet, że „najgorsza orkiestra świata” pod batutą Jamesa wykonuje utwory wielce podobne do współczesnej muzyki prezentowanej choćby na naszej Warszawskiej Jesieni.

Za dwa lata będzie już wiadomo...

Astronomowie obliczyli, że w 1982 roku zajdą w kosmosie niezwykle zmiany — planety układu słonecznego ustawia się w pewnych odległościach od siebie prawie na jednej linii. Nalożenie się wskutek tego sił grawitacyjnych może spowodować zderzenie się planet lub wyrzucenie którejś z nich poza swoją orbitę. Gdyby obyło się bez katastrofy na pewno nastąpią poważne zakłócenia w kosmosie i na Ziemi.

Malpki — pielęgniar'ki

Malpki-kapucynki stają się coraz częściej użytecznymi pielęgniar'kami osób niepełnosprawnych. Małeńka malpka, której wzrost nie przekracza 50 cm oznacza się długowiecznością, osiąga bowiem około 30 lat życia, zaś dojrzewa całkowicie w wieku 3,5 lat.

Doswiadczenia prowadzone w szpitalu uniwersyteckim w Bostonie pod patronatem Narodowej Fundacji Nauk wykazały, że malpki-kapucynki oddane są szczególnej czułością i posiadają zasób inteligencji, która może być wykorzystana w sposób zupełnie nietypowy — służenia pomocą inwalidom.

A oto program zajęć malpki-kapucynki, przydzielonej do opieki nad sparaliżowanym pacjentem. Pozostawiony przez kilka godzin dziennie samemu sobie chory porusza się na fotelu na kółkach, do którego przymocowany jest niewielki pulpit sprężony z urządzeniem komputerowym. Jeśli chory pozbawiony jest władzy w rękach, może za pomocą brody dotknąć w określonym miejscu stołka i zaprogramować w ten sposób szereg poleceń, przekształconych w symbole świetlne ukazujące się na ekranie monitora. Symbolem towarzyszy sygnał akustyczny, mobilizujący uwagę niewidzącego pielęgniar'ki, która umie zapamiętać względnie wyliczyć światło, otworzyć lodówkę i przynieść choremu jedzenie, a nawet karmić pacjenta łyżką. Co więcej, pielęgniar'ka ta doskonale obochodzi się z magnetofonem, umie otwierać drzwi, a nawet odkurzać przedmioty przy pomocy miniaturowego odkurzacza na baterie, przysto-

sowanego do jej wymiarów. Malpka wie, że nie wolno jej dotykać pewnych urządzeń zaznaczonych odpowiednimi nalepkami, nauczona jest również zachowywania przepisów higieny i robienia własnej toalety, m.in. dokładnego mycia łapek przed podaniem choremu jedzenia. Wykonywanie bez zarzutu poleceń jest wynagradzane słodyczkami i bananami, znajdującymi się w pojemniku przytwierdzonym do fotela.



Według opinii lekarzy, angażowanie malpki w charakterze pielęgniar'ki jest nie tylko pożyteczne, ale również opłacalne. Koszt dorosłej kapucynki wraz z całym wyposażeniem wynosi 6-9 tys. dolarów. Natomiast koszt psoprzewodnika dla niewidomych, który zresztą żyje znacznie krócej niż malpka, waha się w granicach 8 tys. dolarów.

Jak wpadł fałszerz pieniędzy?

Ostatnio zatrzymany został mieszkaniec Szczecina, Andrzej Ł., oskarżony o fałszowanie banknotów wartości dwóch tysięcy złotych, które postrabiał doklejkając na dwustu-złotówkach zero, wywoleć z innych banknotów. Takimi banknotami zapłacił on jednemu z cudzoziemców za nabyte od niego marld RFN. Łatwy zarobek przyczynił się jednak do szybkiego przyrostu oszusta. Andrzej Ł., który od dwóch lat nigdzie nie pracuje, po sprzedaży z odpowiednim zyskiem marek, wybrał się w podróż po Polsce.

W wagonie restauracyjnym „Wars” jednego z dalekobieżnych pociągów upił się do nieprzytomności. Gdy interweniujący milicjant próbował podnieść go z podłogi, za koszułki pijanego wysypał się plik podobizny, gotowych do sprzedaży banknotów.

Kosztowne, białe słonie

Rosną koszty utrzymania królewskich białych słoni — symbolu bogactwa i potęgi władców Azji południowo-wschodniej. Obecny król Tajlandii jest posiadaczem jedenastu słoni, które spożywają ogromne ilości trziny cukrowej i bananów, nie licząc różnych smakotyków, takich jak np. skódkwaśne strąki tamaryndy, uformowane w kształt kulki z gładką solf w środku. Jeszcze pięć lat temu koszt pięćdziesięciokilogramowej wiązki trawy kupowanej codziennie rano na petyleniach Bangkoka przez królewskich zapoatrzeniowców stanowił wartość 25-30 centów amerykańskich; dziś ta sama ilość kosztuje już 1,5 dolara. Do budżetu dworu królewskiego wliczane są również rachunki wystawione przez weterynarza i wynagrodzenie dwunastu osób opiekujących się słoniami.

Tradycje utrzymywania tych zwierząt sięgają XIII w., zaś zgodnie z aktem prawnym z 1921 r. wszystkie białe słonie w Tajlandii należą do króla i zabicie zwierzęcia pociąga za sobą karę pięciu lat utraty wolności. Wysoka nagroda pieniężna i złoty medal czeka zaś tego, kto schwyci i przywiedzie słonia do pałacu.

Zanim jednak zwierzę zostanie uznane za godne służby królewskiej, zanim zostanie mu nadane imię i tytuł — podane jest badaniom ekspertów. Białe słonie musi mieć też białawe oczy, białawą lub różową skórę i 20 paznokci — o 2 więcej, niż zwykły słon. Zdróż służące za podstawę oceny urodę mówią też, że zwierzę musi wydzielać przyjemną woń, a gdy śpi, nie powinno hałasować chrapać, lecz wydawać

miłe uchu dźwięki, podobne do brzmienia klasycznego tajskiego instrumentu muzycznego.

Zwierzę przyjęte w poczet słoni królewskich przechodzi specjalny trening, w celu nauczania się zachowania i ponuszania, tak aby godnie mogło uczestniczyć w dworskich ceremoniach.

Gdy słon umiera, owija się go w białą szmatę. Pięciu buddyjskich mnichów odprawia modły i kropi ciało wodą święconą. W dawnych czasach układano zwłoki na drewnianej tratwie i spławiano w dół rzeki Chao Phaya do morza. Dziś słonie grzebane są w pobliżu pałacu. Trawa, trzcina cukrowa i banany wkładane do grobu mają ułatwić królewskiemu pupilom odejście do innego świata.

„DZIECI Z MASZYN”

Zespół włoskich lekarzy-polozników dokonał bezprecedensowego eksperymentu, mającego na celu utrzymanie przy życiu i rozwój płodu w urządzeniu imitującym warunki życia płodowego. A oto co na ten temat powiedział prof. Pier Giorgio Data, szef ekipy badawczej oraz dyrektor Instytutu Fizjologii Ludzkiej Uniwersytetu Chieti w wywiadzie opublikowanym w tygodniku włoskim „Ogdi”.

Zespół działający w szpitalu św. Anny w Turynie przeprowadził wstępne doswiadczenie z 50 płodami ludzkimi ważącymi poniżej 700 g i pochodzącymi z poronień terapeutycznych. Technika eksperymentu polega na umieszczeniu płodu w zbiorniku zawierającym płynną żelatynę i zanurzonego w drugim, większym, napełnionym ciepłą wodą o stałej temperaturze. Płód zostaje połączony szluzem z pompą, która dostarcza mu krwi. System pomysłowy został w ten sposób, że pełni funkcje zarówno naturalnego łożyska dostarczającego

odżywczych substancji do krwioobiegu płodu, jak również płuc i nerek. Na 50 płodów uzyskanych w wyniku sztucznego przerwania ciąży kilkanaście udało się utrzymać przy życiu do momentu powierzenia ich „sztucznej matce”. Siedem płodów zginęło wskutek „błędów technicznych” aparatury, natomiast trzy pozostałe budzą nadzieję badaczy, którzy przewidują, iż uda się je doprowadzić do pełnego rozwoju.

Prof. Data stwierdził, że sztuczne karmienie płodów stwarza potencjalne możliwości dla badaczy, którzy mogą zasilać je w dowolnie kombinowane składniki, zaś rezultaty tej nowej ingerencji człowieka w naturę mogłyby okazać się zupełnie nieoczekiwane i przewyższyć najśmielsze wizje futurologów. Wiemy, jak odżywiają się komórki mięśni i mózgu i dlatego możemy odpowiednio manipulować zarówno jednym jak drugim, co w teorii doprowadzić by mogło do „sztucznej” produkcji osobników o specjalnej predyspozycji atletycznej, względnie innego rodzaju „geniuszy”. Oczywiście nie zamierzamy wykorzystywać tych możliwości — stwierdził prof. Data. Podkreślił on również, że w przyszłości kobieta odgrywać może rolę wyłącznie owulacyjną, na co wskazuje coraz bardziej udoskonalona metoda uzyskiwania „dzieci z próbki”.

— Dziś już umieszczenie zapłodnionego jaja w łonie matki nie budzi sensacji i uważane jest przez wiele bezpłodnych kobiet za dobrodziejstwo pozwalające im zostać matkami. Jutro natomiast „wychowawcze funkcje” być może przejmie maszyna, która doprowadzi do rozwoju płodu i zastąpi w tym matkę naturalną — powiedział prof. Data. Wyraził przy tym nadzieję, że pierwsze „dziecko z maszyny” powinno przyjść na świat w okresie najbliższych miesięcy, prawdopodobnie w jesieni. Powodzenie eksperymentu uzależnione będzie oczywiście od pomyślnego przebiegu doswiadczenia i bezbłędnego działania aparatury.

Oświadczenie włoskiego badacza, stojące na pograniczu science-fiction zostało skorygowane przez jego biskiego współpracownika prof. Morra, który okazał się bardziej ostrożny w interpretacji nowego eksperymentu. Według prof. Morra doswiadczenia prowadzone przez zespół znajdują się dopiero w stadium doswiadczenia i bazuja głównie na hipotezach. Zapowiedział on również, że wyniki uzyskane przez włoskich badaczy stanowią będą we właściwym czasie przedmiot specjalnego kongresu naukowego, w związku z spekulacjami na ten temat są przedwczesne.

Japońscy rybacy, podczas połowów w pobliżu zachodnich wybrzeży wyspy Kiusiu, zaczęli wyławiać prócz ryb dziwne przedmioty — miedziane naczynia, filizanki do herbaty, miecze, fragmenty uprząży konskiej. Natrafiono też na figurkę Buddy z brązu. Uczeń japoński orzekł, że posążek ten pochodzi z XII w. i został wykonany w Chinach lub Korei.

ZATOPIONA FLOTA

Odkrycia rybaków wzbudziły wielką sensację. Zdanien uczonych japońskich natrafiono na ślady jednej z wypraw zorganizowanych przez Mongołów, którzy pod wodzą Dżingis-Chana rozpoczęli podboje ogromnych obszarów w Azji i Europie. Jak głosią kroniki — Kublaj-Chan, jeden z następców Dżingis-Chana, podjął próbę podboju Japonii w 1281 r. Wyprawa ta zakończyła się kompletną klęską — flota mongolską zniszczył tajfun nazwany przez Japończyków kamikaze, czyli „boski wiatr”.

Przez wiele lat poszukiwano śladów nieudanej mongolskiej inwazji. Dopiero niedawno dzięki wskazówkom rybaków, pierwotnie odkrywców wraki 72 okrętów tkwiących w mule na dnie morza. Przewiduje się dalsze podwodne badania archeologiczne, które — być może — pozwolą odnaleźć inne ślady nieudanej wyprawy mongolskiej.



Jedna kobieta bardzo się martwiła, że nie ma dzieci. Wyszła na skałę nad morzem i poprosiła Słońce:

— Kochane Słońce, podaruj mi dziewczynkę. Kiedy będzie miała dwanaście lat, to ci ją oddam. Słońce wysłuchało jej prośby i podarowało jej dziewczynkę. Kobieta nazwała ją Letiko. Kochała ją i opiekowała się nią. Letiko wcale nie wiedziała, że jest córką Słońca.

Kiedy dziewczynka skończyła dwanaście lat, poszła do cyprysowego lasu po ziola. Na polanie spotkała ją Słońce i powiedział:

— Letiko, jak wrócisz do domu, powiedz swojej matce, żeby pomyślała nad tym, co mi przyrzekła.

Letiko wróciła do domu i opowiedziała matce, co jej się zdarzyło.

Matka bardzo się przestraszyła. Zaraz pozamykała drzwi i okiennice ich małego kamiennego domku, pozatykała wszystkie szpary i nie wypuszczała Letiko z domu, żeby Słońce nie mogło jej zabrać.

Ale zapomniała o dziurce od klucza. Wpadł tedy promień słoneczny i porwał dziewczynkę.

Teraz Letiko żyła u pięknego, potężnego Słońca. Ale od rana do nocy myślała o swojej matce i tęskniła.

Poszła raz do stodoły po słonę. Usiadła tam na jednej z wiątek i zaczęła się skarżyć:

— Jak ta słona szeleści, kiedy ją deptę nogami, tak za matusią wdycha serce moje!

Zapomniała, że czas mija i siedziała tak długo, że kiedy wróciła, Słońce zapytało:

— Letiko, czemu byłaś tyle czasu w stodole?

— Mam za duże chodaki, nie mogłam prędko iść — odpowiedziała Letiko.

Słońce zaraz zmniejszyło jej chodaki.

Innym razem Słońce posłało Letiko po wodę. Zeszła nad źródło, siadła na kamieniu i zaczęła się żalić:

— Jak ta woda płynie i płynie, tak rozplywa mi się serce z tęsknoty za matusią moją!

Siedziała na kamieniu i siedziała. Kiedy przyszła z powrotem, Słońce zapytało:

— Letiko, czemu tak długo nie wracałaś znad źródła?

— Mam za długą sukienkę, przeszkadza mi iść — powiedziała Letiko.

Słońce zaraz przycięło jej sukienkę krócej.

Innym razem poszła Letiko do miasta, żeby kupić sandały. Kiedy je niosła z powrotem, szła wolniutko po zapyłonej drodze i użalała się:

— Jak te rzemyki od sandałów skrzypią mi w rękach, tak

Zające, czy chcecie zanieść Letiko do matki? — zapytało Słońce.

— Czemu nie? — pisały zające. — Odniesiemy ją.

— A co będziecie jadły po drodze?

— Poszczypiemy trochę listków, napijemy się wody ze źródelka i odniesiemy Letiko całą i zdrową.

— Kiedy tak, to ją zanieście. Zające poniosły Letiko. Ale droga była bardzo daleka. Zachciało im się jeść i powiedziały dziewczynce:

— Wejdź na drzewo figowe, kochana Letiko i siedź na nim, aż najemy się i wrócimy.

Letiko weszła na drzewo, a zające poszły się paść.

Wtem przybiegła pod drzewo zła czarownica Lamia i zaskrzeczała słodkim głosem:

— Letiko, śliczna Letiko, zejdź z drzewa i obejrzyj moje piękne pantofelki.

— Nie zejść — odpowiedziała Letiko. — Moje sandały więcej mi się podobają.

— Zejdź prędko! Bardzo się spieszę, bo jeszcze nie posprzątałam w moim domku.

CÓRKA SŁOŃCA

(baśń grecka)

wdycha mi serce z tęsknoty za matusią moją!

Kiedy przyszła z powrotem, Słońce zapytało:

— Letiko, czemu wracasz tak późno?

— Mam za dużą czapkę, spada mi na oczy i zasłania drogę. Słońce zwięzło zaraz jej czapkę.

Ale wreszcie zauważyło, że dziewczynka jest smutna i widać czegoś się martwi. Kiedy Letiko znowu poszła po słonę, Słońce wśliznęło się do stodoły przez szparę pomiędzy deskami i usłyszało jej skargę.

Słońce kochało Letiko. Wróciło prędko do domu, zawołało parę lisów i zapytało:

— Lisy, czy chcecie odnieść Letiko do matki?

— Czemu nie? — zaszczekały lisy. — Odniesiemy ją.

— A co będziecie jadły i pili po drodze?

— Trochę ją nadgryziemy, trochę jej krwi upijemy, a co zostanie, to zaniesiemy.

— Precz! — krzyknęło Słońce z gniewem i zawołało parę zajęcy.

— To idź i posprzątaj, a potem przyjdiesz znowu.

Lamia pobiegła do swojego domku.

Zające jeszcze nie wróciły, kiedy Lamia znowu przyszła. — Letiko, śliczna Letiko, zejdź stamtąd! Już posprzątałam. Zejdź i przypatrz się, jaki ładny fartuszek włożyłam.

— Nie zejść, mój fartuszek najbardziej mi się podoba.

— Zejdź zaraz, bo jak nie, to przewrócę drzewo i zjem cię.

— Najpierw je przewróć, wtedy zobaczymy — zawołała Letiko.

Lamia z calych sił tłukła w pień, szarpała za gałęzie — nie mogła przewrócić figowego drzewa.

Wtedy zaczęła znów przymilać się słodkim głosem:

— Letiko, śliczna Letiko, zejdź wreszcie. Muszę iść do moich dzieci i dać im pić, więc bardzo się spieszę.

— To idź i daj im pić, a potem wróć.

Lamia poszła nareszcie. A Letiko zawołała jak najgłośniej:

— Zajęcie, zajęcie!

— Słuchaj, nasza Letiko nas wola — powiedział jeden zajęć do drugiego.

Przybiegły prędko, Letiko zlała z drzewa i zajęce poniosły ją dalej.

Ale Lamia zaczęła ich gonić. Biegła obok pola, na którym chłopcy pracowali. Zapytała:

— Nie widzieliście, czy kto tędy nie przechodził?

— Zbieramy fasolę — odpowiedzieli chłopcy.

— Co wy gadacie! — krzyknęła Lamia. — To nie ma sensu. Przecież nie pytam o to, co robicie, tylko czy nikt tędy nie przechodził.

— Chyba ogłuchłaś, że nie rozumiesz — odpowiedzieli chłopcy spokojnie. — Przecież powiedzieliśmy ci już, że zbieramy fasolę. Fasolę, rozumiesz? Nie oglądamy się, czy kto przechodzi, czy nie.

Odwrocili się i nie chcieli już więcej z Lamią rozmawiać.

Tymczasem zajęce biegły z Letiko jak najprędzej. Już widać było z daleka dom jej matki.

Pies zwęszył dziewczynkę i zaczął szczekać:

— Hau, hau, nasza Letiko wraca.

Matka powiedziała ze smutkiem:

— Cicho bądź, Hust. Czy chcesz, żebym umarła z tęsknoty?

Teraz kot, który siedział na dachu, poznał dziewczynkę i zawołał:

— Miau, miau, Letiko wraca.

— Cicho bądź, Cutu, nie żartuj — powiedziała matka ze smutkiem. — Czy chcesz, żebym umarła z żalu?

I rozplakała się.

Zające i Letiko były coraz bliżej. Ale Lamia prawie ich już doganiała.

Biegnały zajęce z calych sił, są okropnie zmęczone, a Lamia tuż... Jeden zajęć przeskoczył przez próg domu. Drugi przeskoczył też — ale Lamia zdążyła złapać go za ogonek i kawalek oderwała.

Letiko była w domu i zatrzasnęła drzwi przed Lamią.

Ach, jak się matka ucieszyła, kiedy znów zobaczyła swoją córeczkę! Przywitała też serdecznie zajęce, ugościła je i powiedziała do biedaka, któremu Lamia oderwała ogonek:

— Jesteś dobre i dzielne zwierzątko. Nie chcę, żebyś był brzydszy od innych zajęcy. Został ci ogonek malutki, ale za to ci go posrebrzę.

I tak zrobiła.

DLACZEGO ZAJĄC MA KUSY OGON?

(baśń rosyjska)

— Dobrze mówi lis. — Przyniosę ci go na pewno.

Ale lisowi nie można wierzyć, zajęć o tym wie.

Patrzy, a tu idzie niedźwiedź, kołyszając się z boku na bok. Więc zajęć prosi także niedźwiedzia:

— Wujku miśu, przynieś ogonek i dla mnie?

Niedźwiedź kiwnął głową i mruknął:

— Dobrze. Przyniosę.

Zajęć czeka, czeka, raz po raz wylada z norki.

Wreszcie zobaczył, że lis wraca.

— Lisku braciśzku, czy przyniosłeś mi ogonek?

— Ach, zapomniałem — pisał lis i pobiegł dalej wymachując tak piękną kitą, że ho, ho!

Za lisem wraca niedźwiedź, ale jest czegoś zły. Brzydki ogon dostał. Nawet nie spojrzał na zajęca, nie odpowiedział, tylko przeszedł obok kotlinki i poczłapał dalej.

Zajęćowi zrobiło się przykro. Jak to, wszystkie zwierzęta mają już ogony, a on nie? Siedzi więc i popłakuje. Aż tu nagle słyszy:

— Hau! Hau! Wrr!

— Pff! Pff!

Co to za hałas? To pies pokłócił się z kotem o to, czyj ogon jest ładniejszy. Biją się tuż obok zajęćej kotliny. Kot podrapał psa, a pies odgryził kotu koniuszek ogona.

Zajęć wyskoczył, chwycił ten kawaleczek ogona i myk! z powrotem.

Przyczepił go sobie i już miał także ogonek. Co prawda nie większy niż guzik — ale lepszy taki niż żaden.

Było to dawno, zwierzęta nie miały jeszcze wtedy ogonów. Wtem przyszedł rozkaz, że mają wszystkie pójść na polanę pod dwoma dębami, bo tam będą im rozdawać ogony.

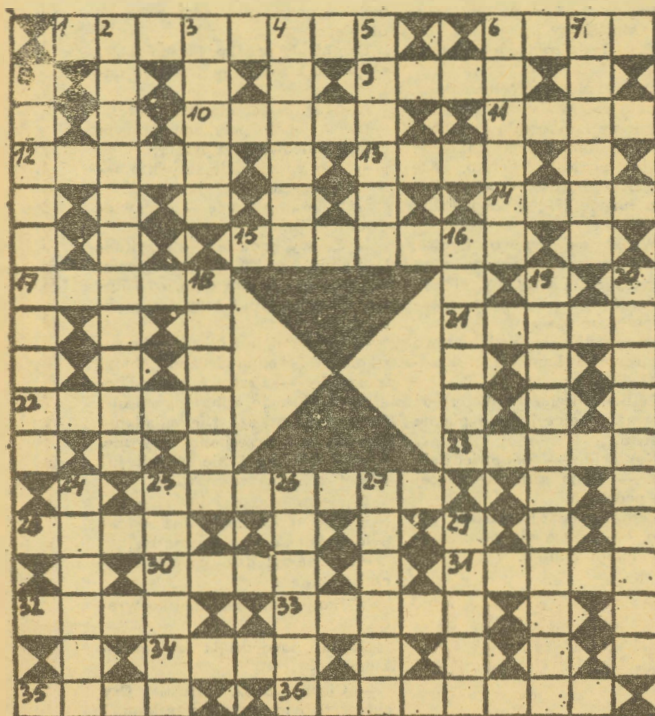
Zwierzęta bardzo się ucieszyły. Biegnały, jedno drugie przegania. Każde się boi, że może dla niego zabraknąć ogona.

Zajęć też bardzo chciał mieć ogon. Wysunął pyszczyk z kotlinki, ale na nos kap! kap! Jakże tu iść w deszcz?

„Poproszę kogoś, żeby mi przyniósł ogonek”, pomyślał.

Patrzy a tu biegnie lis. Zajęć prosi:

— Lisku braciśzku, przynieś mi ogonek!



POZIOMO: 1) naciskasz go włączając biegi, 6) na szlacheckim sygnecie, 9) duża beczka na piwo lub wino, 10) jar, 11) czworokątny ukośnik, 12) produkt z rafinerii, 13) myśl przewodnia, 14) z areną, 15) staropolski strój, 17) pracuje w wodzie, 21) autor powieści „Ziemia krwi i przemocy”, 22) ochronny kolor mundurów, 23) buduje widzące gniazda, 25) szermiercza arena, 28) w układzie krwionośnym, 30) hodowla, 31) gorący napój alkoholowy, 32) harcerskie czasowisko, 33) profesor z opowiadania Szaniawskiego, 34) jugosłowiańskie „Mazowsze”, 35) pożądana w sierpniu, 36) nieprzepisowe zagranie piłkarskie.

PIONOWO: 2) półprodukt, 3) werwa, 4) między jamą ustną a przelykiem, 5) kielich + korona kwiatu, 6) okup, 7) skórzana profesja, 8) Jan Sawa, 16) nieruchoma część prądnicy, 18) danie deserowe, 19) część dawnej zbroi, 20) flamandzki Dyl, 24) znak umowny, 25) grupa kumpli, 26) odkrył prawo grawitacji, 27) nie jeden w loteryjnym bębnie, 29) ośrodek wypoczynkowo-sportowy nad Pilicą.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do 23 maja.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 16

POZIOMO: 1) zacios, 7) sękacz, 10) zielarz, 12) kłódka, 13) rum, 14) pazurek, 16) naczepa, 17) brokat, 19) gekony, 21) agentka, 25) apanaże, 28) Ułamaro, 31) Wil, 32) gin, 33) odlów, 34) antymon, 35) abonent.

PIONOWO: 2) aul, 3) Indyk, 4) szan-
taż, 5) tereje, 6) lament, 7) szpagat,
8) kaczyk, 9) Coe, 11) luz, 12) kobialka,
15) ksyloit, 18) otawit, 20) Oranje,
22) Geron, 23) Naklo, 24) kutwa, 26) ni,
27) atom, 29) agio, 30) mi.

HASŁO POMOCNICZE: Argument
kija działa nader krótko.

ROZWIĄZANIE MINI-KRZYŻÓWKI NR 17

POZIOMO: 1) demitologizacja, 13) aguti, 14) ikra, 15) Or, 16) sala, 18) knaga, 20) fen, 21) trans, 23) azarina, 26) Rialto, 27) tonik, 28) przeniewierstwa.

PIONOWO: 1) dostęp, 2) malarz, 3) Iganie, 4) Tu, 5) OTK, 6) Linate, 7) giga, 8) Ikar, 9) Zr, 10) AA (Adam Asnyk), 11) Joe, 12) arnika, 17) ar, 19) Azow, 20) fant, 22) San, 24) Itr, 25) nos.

HASŁO POMOCNICZE: Czeka na nas maj.

*

Nagrody za rozwiązanie krzyżówki nr 16 wylosował panowie Stanisław Szost z Krynicy i Adam Mazuga z Limanowej, a za rozwiązanie mini-krzyżówki numer 17 — pani Anna Teresa Kaszowicz z Gorlic i pan Jan Pawlikowski z Krynicy. Nasze gratulacje. Przypominamy o kwartalnym konkursie dla najlepszych!

• Międzyspółdzielnianny klub kultury „Lachy” w Nowym Sączu na premierę programów: „Kabała” kabaretu „Lach” i „Samokrytyka” kabaretu „Ja”;

• Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Nowym Sączu na VI zwyczajną sesję rady;

• Muzeum Ziemi Limanowskiej PTTK, miejski Ośrodek Kultury, Towarzystwo Miłośników Ziemi Limanowskiej na otwarcie IV wystawy prac plastyków amatorów;

• Kurator oświaty i wychowania na konferencję prasową o tegorocznych maturach.

Zaprosili nas

• Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej oraz Wojewódzka Rada Oświaty i Postępu Rolniczego w Nowym Sączu na XIX Wojewódzka Olimpiadę Wiedzy Rolniczej;

• Dyrektor Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu na kolejny wieczór muzyczny z recitalem pieśni Fryderyka Chopina. Wśród wykonawców — artystka Teatru Wielkiego w Warszawie Anna Malewicz-Madey; przy fortepianie Mirosław Dąbrowski;

UWAGA inwalidzi, renciści, emeryci i osoby w wieku poprodukcyjnym!

MIĘDZYWOJEWÓDZKA USŁUGOWA SPÓŁDZIELNIA INWALIDÓW W KRAKOWIE

ZATRUDNI ZARAZ

KOBIETY I MĘŻCZYZN
NA STANOWISKA STRAŻNIKÓW

w pełnym i niepełnym wymiarze godzin, w dozorze mienia na terenie województw miejskiego krakowskiego, nowosądeckiego i tarnowskiego.

Przy 48-godzinny tygodniu pracy istnieje możliwość uzyskania zarobków do 5.000 zł miesięcznie, a renciści i emeryci mogą osiągnąć do 42.000 zł rocznie.

Informacji udzielają i do pracy przyjmują kierownicy oddziałów terenowych:

- | | |
|--------------------|------------------------|
| KRAKÓW-PODGÓRZE | — Rynek Podgórski 9 |
| KRAKÓW-KROWODRZA | — ul. Kościuszki 19 |
| KRAKÓW-SRODMIEŚCIE | — ul. Westerplatte 18 |
| KRAKÓW-NOWA HUTA | — os. Modości 8 |
| SKAWINA | — ul. Konopnickiej 1 |
| BOCHNIA | — ul. Oracka 10 b |
| DĘBICA | — pl. Zwycięstwa 37 |
| GORLICE | — ul. Cicha 6 |
| NOWY SĄCZ | — Jagiellońska 12 |
| TARNÓW | — ul. Nowodąbrowska 18 |
| ZAKOPANE | — ul. Chałubińskiego 1 |

Zatrudnieni pracownicy korzystają w szerokim zakresie ze świadczeń rehabilitacyjno-socjalnych.

K-2226

PRZEDSIĘBIORSTWO ROBÓT ZMECHANIZOWANYCH

„BUDOSTAL-8” w Krakowie przyjme zlecenia

na wykonanie w roku 1981 robót ziemnych lub odda w najem sprzęt do robót ziemnych, tj. KOPARKI, SPYCHARKI I ŁADOWARKI oraz ŻURAWIE WIEŻOWE TYPU ZB-80 i ZB 75/100 na terenie województw krakowskiego, nowosądeckiego, kieleckiego, tarnowskiego, bielskiego i katowickiego.

Oferty uprasza się kierować pod adresem PRZ „Budostal-8” Kraków, ul. Przewóz 34, telefon 651-26, telex 0325352.

Do Absolwentów Szkół Podstawowych!

KRAKOWSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO
ROBÓT INŻYNIERYJNYCH
w Krakowie, ul. Mazowiecka 25

prowadzące roboty eksportowe za granicą

przyjmuje wpisy

DO ZASADNICZEJ SZKOŁY BUDOWLANEJ
w zawodach:

- MONTER zewnętrznych sieci komunalnych — nauka 2 lata
- MECHANIK maszyn budowlanych — nauka 3 lata

Do klasy I przyjmowani są chłopcy (bez egzaminu), którzy ukończyli 8 klasę szkoły podstawowej.

Nauka trwa tylko 2 lata.

Po ukończeniu ZSB istnieje możliwość dalszej nauki w 3-letnim Technikum Budowlanym dla pracujących.

Przedsiębiorstwo w okresie nauki zapewnia uczniom:

- podwyższone wynagrodzenie miesięczne wg obowiązujących przepisów,
- bezpłatne posiłki regeneracyjne (śniadania)
- raz w roku ubranie wyjściowe (bezpłatnie)
- odzież roboczą i ochronną
- internat dla młodzieży zamiejscowej za częściową odpłatnością
- uzyskanie prawa jazdy kat. „B” zawodowej

Zgłoszenia przyjmuje i szczegółowych informacji udziela Dział Zatrudnienia i Szkolenia KPRI — Kraków, ul. Mazowiecka 25, pokój 9, telefon 344-55 wewn. 297 lub 214, 215.

KPRI przyjmuje również na korzystnych warunkach BRUKARZY, BETONIARZY oraz ROBOTNIKÓW NIEWYKwalifikowanych.

PIATEK

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSS;
8.10 Dla szkół: geografia, kl. 7 — Indonezja;
9.00 Program dla najmłodszych — „Książka twoj przyjaciół”;
9.55 Dla szkół: geografia, kl. 6 — Pojezierze Lubuskie;
11.00 Wychowanie obywatelskie, kl. 7 — chrońmy zabijki;
11.55 Dla szkół: wychowanie obywatelskie, kl. 8 — czekają na ciebie;
13.30, 14.00 TTR, RTSS;
14.40 Redakcja szkolna zapowiada;
14.55 Program dnia;
15.00 NURT;
15.30 Dziennik;
15.45 Obiektowy;
16.05 Dla dzieci: kółko graniaste;
16.35 XXIV Wycieczka Północy;
16.50 Magazyn motoryzacyjny;
18.50 Dobranoc;
19.00 Monitor rządowy;
19.30 Dziennik;
20.00 Rolnicze rozmowy;
20.15 Teatr faktu — Jan Bratkowski — „Próba rekonstrukcji” (2);
21.35 „Listy o gospodarce”;
22.20 Kronika Wycieczki Pokoju;
22.35 Dziennik;

PROGRAM II

DWÓJKA DLA DRUGIEJ ZMIANY PREMIERY DNIA

10.00 Magazyn motoryzacyjny;
10.20 „Pieniądże szczęścia nie dają” — film rumuński;
16.25 Język francuski (30);
16.55 Język rosyjski (30);
17.30 Język angielski dla zaawansowanych (5);
18.00 Kino TDC — „Kino obietnic”;
18.30 Poradnia „zaufanie”;
19.00 KRONIKA (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 „Wielce rozmowy w kręgu rodziny”;
20.10 Koncert WOSPRIT;
21.40 24 godziny;
21.50 Kino bez granic — „Koniec nocy” — indyjski film społeczno-obyczajowy;

SOBOTA

PROGRAM I

6.00, 6.30, 7.00, 7.30 TTR, RTSS;
8.30 „Braterswo bronni” — wojsk. film dok.;
9.30 STUDIO-2;
18.50 Dobranoc;
19.30 Dziennik;
STUDIO-2 (c.d.);

PROGRAM II

11.50 Program dnia;
11.55 Klasyczne pas de deux — tańcza soliści teatru opery i baletu w Kijowie;
12.40 „Zmartwychwstanie” (2) adaptacja filmowa powieści Lwa Tołstoj;
14.15 „Zgadnij kim jestem”;
15.00 „Książki sezonu” — film obycz. TP;
16.00 „Popołudnie przygody i podróży”;
17.35 „Pieniądże szczęścia nie dają” — rumuński dramat społeczno-obyczajowy;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 „Niebezpieczny pościg” (7 — ostatni) — „Prokurator poszukiwany”;
21.00 Sprawozdawczy magazyn sportowy;
21.35 24 godziny;
22.05 „Przeboje mistrzów” (2) — program Janusza Ceglińskiego;
22.45 „Poeci recytują wiersze” — Józef Bajan;

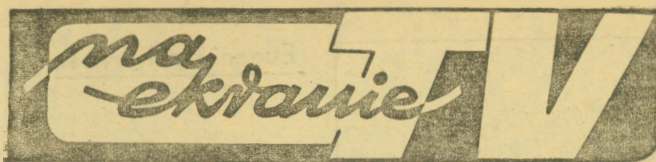
TV BRATYSŁAWA

8.20 Pionierska Jaskółka;
11.15 „Rejon na północy” (1);
12.05 60 lat KPCC;
13.05 Zielone lata;
14.00 Przegląd sportowy;
14.30 Baśń o filmie animowanym;
16.00 Wycieczka Pokoju;
17.40 10 stopni do złota;
18.30 Włóczynka;
18.40 „Przyjaciele Zielonej Doliny” (10);
19.30 Dziennik TV;
20.00 Bakalarze 1981;
21.15 „Solidna rodzina?” — hiszp. komedia filmowa;
21.45 Komik i jego świat.

NIEDZIELA

PROGRAM I

6.00, 6.10 TTR, RTSS;
7.30 „Wiedza nasza szansa”;
7.30 „Alarm przeciwpożarowy trwa”;
7.40 „Nowoczesność w domu i zagrodzie”;
8.10 „Emerytury dla rolników”;



15. V. — 21. V.

8.20 „Od słowa do słowa”;
8.35 „Telewizjada” — sport dla wszystkich;
8.55 Program dnia;
9.00 Dla dzieci: „Teleranek”;
10.30 Antena;
11.00 „Wielkie miasta świata” — Meksyk — franc. film dok.;
11.50 Dziennik;
12.05 „Gdy się powiedziało a...”;
12.35 „Z kamerą wśród zwierząt” — „Papuzi charakter”;
13.10 „Klub 6 kontynentów” — „Przez czarną furtek”;
13.55 Dla dzieci: krakowski teatr baśni — „Pazowie króla Zygmunta”;
14.55 Telewizyjny koncert zyczeń;
15.30 Losowanie dużego lotka;
15.45 „Monitor sejmowy”;
16.15 „Hrabia Gaston — rycerz z Pirenejów” (ostatni odcinek serialu);
17.15 „W świecie dzikich zwierząt” — „Życie społeczne lwa”;
17.40 Teatr telewizyjny scena popularna Wil Lipatow „Wielki Sherlock Holmes”;
18.00 Włóczynka;
19.30 Dziennik;
20.00 „Buddenbrookowie” (4);
21.00 Sportowa niedziela;
21.30 „Lista obecności satyryków” — Daniel Passent;
22.55 Teatr telewizyjny scena poezji, Jan Kasprzowicz — „Zem chłemieńskim przed wszystkim”;

PROGRAM II

9.40 Program dnia;
9.45 „Krokiolowcy” — progr. wojsk.;
10.15 „Punkt widzenia” (3);
11.05 „Przeboje tygodnia”;
12.05 „Galeria obrazów — muzeum sztuk pięknych w Budapeszcie” — węg. film dok.;
12.30 „Kijów i jego zabijki” — radz. film dok.;
12.50 Fotowizje: zabijki — widowisko publ.;
13.35 Teatr telewizyjny Leon Kruczkowski „Niemy”;
15.35 „Tuzin” — teleturniej;
17.15 Sprawozdawczy magazyn sportowy;
18.30 „Polskie szlaki Chopina” — film muz.;
19.30 Dziennik;
20.00 „Halo, to orkiestra i balet telewizyjny chorołowców”;
21.00 Filmoteka narodowa — filmy Kazimierza Kutza — „Krzyż waleczny”;

TV BRATYSŁAWA

8.20 Chodźcie z nami...;
10.45 „Egzamin dojrzałości” (2);
12.05 Północny koncert;
13.00 Armut;
13.50 Graja dla przyjemności;
14.50 J. Dufek: „Skrydła”;
16.45 „Kobieta ze szczytów” — film słowacki;
18.00 Włóczynka;
19.30 Dziennik TV;
20.05 „Rejon na północy” (2);
21.20 60 lat KPCC;
21.45 „Półki” — „Bukiety”;
22.30 Grand Prix Belgii.

PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

13.30, 14.00 TTR, RTSS;
14.55 Program dnia;
15.00 NURT;
15.30 Dziennik;
15.45 Obiektowy;
16.00 Wycieczka Pokoju (X etap);
16.50 Dla dzieci: „Zwierzyniec”;
17.20 „Cztery pancerni i pies” (17) — „Klin”;
18.15 „Krok po kroku” — wywiastczenie;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Echa stadionów”;
19.30 Dziennik;
20.00 Rolnicze rozmowy;
20.10 Teatr telewizyjny Pierre de Marivaux — „Igraszki trafo i młode”;
21.35 „Ballady o Monte Casino”;
22.20 Kronika wycieczki Pokoju;
22.35 Dziennik;

PROGRAM II

16.25 Program dnia;
16.30 Język rosyjski (1);
17.00 Język francuski (1);
17.30 Język angielski dla zaawansowanych (6);
18.00 STUDIO BIS;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 STUDIO BIS (c.d.);
22.00 24 godziny;
22.10 „Ostatni liść” — dramat obycz. TP;

WTOREK

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSS;
8.00 Język polski, kl. 1 lic. — J. U. Niemcewicz — „Powrót posła”;
11.00 Wychowanie plastyczne, kl. 3 — z Szymonem Kobylńskim spotkanie IX (kompozycja);
12.50 Rodzina współczesna, kl. 1-3 lic. — „U nas w domu”;
13.30, 14.00 TTR, RTSS;
14.30 Telewizja w sprawie miliardów;
14.55 Program dnia;
15.00 „Telewizyjny klub seniora”;
15.30 Dziennik;
15.45 Obiektowy;
16.00 Wycieczka Pokoju (etap XI);
17.20 Polska Kronika Filmowa;
17.30 „Interstudio”;
18.00 Magazyn „C.D.N.”;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Camerata”;
19.30 Dziennik;
20.15 Studio sport: piłka nożna RFN—Brasylia, w pierwszej ok. 20.45 — kronika Wycieczki Pokoju;
22.05 Forum ekonomistów;
22.50 „Właściwy człowiek” — z próbnego Salomoni;
23.25 Dziennik;
23.40 Telewizja w sprawie miliardów;

PROGRAM II

DWÓJKA DLA DRUGIEJ ZMIANY

PREMIERY DNIA

10.00 Spotkania literackie;
10.30 Wycieczka filmowa;
16.25 Program dnia;
16.30 Język rosyjski (2);
17.00 Język francuski (2);
17.30 Język angielski dla zaawansowanych (6);
18.00 „Cala napród”;
18.30 Spotkania literackie;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 „Antykwarjat” — początek czasu teatralnego;
20.30 Wtorek melomana;
21.30 24 godziny;
21.40 Włóczynka filmowa — „Stare kino”;
21.55 „Wielcy aktorzy teatralni na filmowym ekranie” (Stefan Jaracz, Józef Węgrzyn, Stanisław Wysocki, Aleksander i Kazimierz Junosza-Stępski) — filmy Tadeusza Pałki — „Kara” — „Gwiazda pomysłowości”;

ŚRODA

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSS;
9.00 Chemia kl. VII — sole;
9.55 Praca — technika, kl. 1 — automaty wokół nas;
13.30, 14.00 TTR, RTSS;
14.30 Telewizja w sprawie miliardów;
14.55 Program dnia;
15.00 NURT;
15.30 Dziennik;
15.45 Obiektowy;
16.00 Wycieczka Pokoju (XIII etap);
16.10 Dla dzieci: „Michałki”;
17.50 Losowanie express i małego lotka;
18.00 „Dom i my” poradnik;
18.20 „Klub dobrej książki”;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Wyspy Hiszpanii”;
19.30 Dziennik;
20.00 Program publicystyczny;

21.00 Kronika wycieczki Pokoju;
21.20 General Sikorski — wspomnienie i legenda;
22.20 Dziennik;
22.35 Telewizja w sprawie miliardów;

PROGRAM II

DWÓJKA DLA DRUGIEJ ZMIANY

PREMIERY DNIA

16.00 „Przygoda nad Morzem Czarnym” (3);
11.00 General W. Sikorski — wspomnienie i legenda;
16.10 Program dnia;
16.15 Język rosyjski (3);
16.45 Język francuski (3);
17.20 Towarzystwo Wiedzy Powszechnej — tajemnice sprawnego działania — (5);
17.50 „Przygoda nad Morzem Czarnym” (2);
18.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;

KOSMOS

20.00 „W 80 minut dookoła świata” — opowieści lotników;
20.25 „Indyjski maraton” — film Toni Halla;
20.35 „Wycieczka na orbitę” — prom kosmiczny i co dalej...?;
21.05 „U kresu sił” — miśniętym przez Kanał la Manche;
21.15 „Przygoda starożytnej mapy” — mapy Piri Reis;
21.30 24 godziny;
21.40 „Tłok na Atlantyku” — opowieści marynarzy;
22.10 „Doganając wiek XX” — opowieści kolejarzy;
22.30 „Szalone rekordy” — w pogoni za sukcesem, felieton filmowy;
22.40 „W poszukiwaniu wyspy bezludnej” — czy czekają nas jeszcze nowe odkrycia na mapie świata?;

CZWARTEK

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSS;
8.00 Język polski, kl. I lic. — Ignacy Kraśnicki;
11.00 Język polski, kl. VIII — Tadeusz Rózewicz;
11.55 Nauka o człowieku, kl. VIII — zdrowie współczesnego człowieka;
13.30, 14.00 TTR, RTSS;
14.30 Telewizja w sprawie miliardów;
15.00 Program dnia;
15.45 „Turniej zastępowych”;
15.55 Dziennik;
15.55 Obiektowy;
16.05 Wycieczka Pokoju (XIII i XIV etap);
17.30 Czwartek TDC;
18.15 Magazyn lotniczy;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Sonda” — „Równowaga”;
19.30 Dziennik;
19.45 „Kademu swoje” — włoski film kryminalny;
21.50 Pegaz;
22.35 Kronika wycieczki Pokoju;
22.50 „Zapis autoryzowany” — WSK Rzeszów;
23.30 Dziennik;
23.35 Telewizja w sprawie miliardów;

PROGRAM II

DWÓJKA DLA DRUGIEJ ZMIANY

PREMIERY DNIA

10.00 Program morski;
10.30 Magazyn lotniczy;
11.00 „Sonda” — „Równowaga”;
11.30 „Zapis autoryzowany” — WSK Rzeszów;
16.25 Program dnia;
16.30 Język rosyjski (4);
17.00 Język francuski (4);
17.30 Język angielski dla zaawansowanych (7);
18.30 „Program na dziś i jutro”;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 NURT;
20.30 NURT;
21.00 NURT;
21.30 24 godziny;
21.40 „Wieczory Chopinowskie” z nagrań konkursowych Ewy Póbiłkiewicz;
22.10 „Obrońcy” — „Ładunek platyny” — film krym.;
22.35 „Bez recepty”;

Za zmiany wprowadzone w ostatniej chwili redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Przypominamy, że filmy szczególnie przez nas polecane wyróżnione są drukiem pogrubionym)

GORLICE: 15-17 Brawurowe porwanie (USA, sensacyjno-przygodowy), 18-21 Parsywa dwunastka (USA, wojenno-przygodowy); GRYHOW: 16-18 Bobby Deerfield (USA, psychologiczno-przygodowy), 19-21 Aż rozłączy nas śmierć (NRD, psychologiczno-obyczajowy); KŁOSCIENKO: 15-17 Zabójstwo chemika (USA, sensacyjno-społeczny), 18-20 Porwany przez Indian (NRD, indyjski); KRYNICZA: 15-18 Ostatni raz (USA, kryminalny), 17-18 Przepustka dla marynarza (USA, melodramat), 19-21 Przyjaciele (jugosłowiański, młodzieżowy); LIMANOWA: do 17 Zamach stanu (polski, rekonstrukcja dokumentalna), 19-20 Akwanci (ra-

REPERTUAR KIN

dziecki, przygodowy), od 21 Coma (USA, thriller medyczny); MSZANA DOLNA: Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce; MUSZYNA: 15-17 Constans (polski, moralitet), od 18 Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce (polski, dokument); NOWY SĄCZ — Kolejarski: 15-17 Cudze pieniądze (francuski, psychologiczno-społeczny), 19-21 Porwany przez Indian (NRD, indyjski); NOWY SĄCZ — Krokus: 15-17 Kariera na zlecenie (francuski, komedia), 18 Idealna para — w DKF (USA, komedia obyczajowa), 19-21 Ale kino (USA, retro-melodramat); NOWY SĄCZ — Podhale: 14-16 Tango ptaka

(polski, młodzieżowy), 17-19 Piraci XX wieku (radziecki, przygodowy), od 20 Superpotwór (japoński, sensacyjno-fantastyczny); NOWY TARG: do 18 Zandarm na emeryturze (francuski, farsa), 19-20 Po sezonie (brytyjski, psychologiczny), 21-22 Dziedzictwo (brytyjski, horror); PIWNICZNA: 15-17 Koziorożec I (USA, sensacyjno-przygodowy), 19-21 Słoneczny pyl (bułgarski, młodzieżowy); RABKA: Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce (polski, dokument); STARY SĄCZ: 16-18 Wzrost lokalna 1981 (polski, dramat narodowy), od 19 Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce (polski, dokument);

SZCZAWNICA — Pieniny: 15-17 Wierna zona (francuski, melodramat kostiumowy), 19-21 Zamach stanu (polski, rekonstrukcja dokumentalna); ZAROPANE: 15-16 Miłosa edukacja Walentego (francuski, farsa), 17-18 Dziedzictwo (brytyjski, horror) 19-20 Król Cyganów (USA, społeczno-sensacyjny), 21-22 Hair (USA, musical kontestatorski).

Ponadto: CZARNY DUNAJEK: 16-17 Koronczarka (szwajcarsko-francuski, o miłości); KOSCIELISKO: 14-15 F.I.S.T. (USA, sensacyjno-społeczny); LUBIEC: 20 Ojciec Sergiusz (radziecki, moralitet); LABOWA: 16-17 Chłaski syndrom (USA, sensacyjny); SZCZAWNICA — Górnik: 19 Kruche więzy (czesłowski, psychologiczny).

DUNAIEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz (sekretarz redakcji), Krzysztof Dybel (z-ca sekretarza redakcji), Adam Garbic, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Antoni Krob, Jerzy Leśniak, Adam Ogórzalek (redaktor naczelnik), Franciszek Palka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (redaktor techniczny), Stanisław Śmierczak (fotoreporter). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. St. Żółkiewskiego 11. Telefon: 238-36, 238-50. Telex: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon 203-29, 275-88 wewn. 238. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Krakowie, ul. Wielopole 1.

Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń ul. Wiślna 2. 31-007 Kraków, telefon: 270-89 oraz wszystkie Biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę z zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23. 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 3567. F-8.



Znawca kobiet

Wybitnego pisarza włoskiego, Alberto Moravie, zapytano kiedyś, czy kobiety jego zdaniem — zdradzając mężów — miewają wyrzuty sumienia? Pisarz odpowiedział:

— Niewątpliwie tak, ale z pewnością dużo mniejsze niż kobiety dochowujące wierności.



Uśmiechnij się...

W SKLEPIE:

Po długich przysmiarkach różnych kapeluszy klientka zwraca się do sprzedawczyni:

— Proszę zapakować ten.

Ekspedientka szepcem pyta kierowniczkę: — Mam to zrobić, czy powiedzieć jej, że to nie kapelusz, tylko ozdobny wazon ze sztucznej skóry?

W SZKOLE:

— Możesz mi powiedzieć, Marku, co to jest odwaga?

— Odwaga to jest dobrowolne przyznanie się do tego, że nic się nie wie...

W BIURZE:

Kierownik zwraca się do nowo przyjętego pracownika: — Jak długo przebywaliście w poprzednim miejscu?

— Sześć lat.

— Wypowiedziano wam, czy sami wypowiedzieliście?

— Nie, zwolniono mnie na podstawie amnestii...

W PRZYCHODNI ZDROWIA:

— Pan nie wie, że przyjmujemy do godziny 17?

— Ja wiem, tylko pies, który mnie ugryzł, nie wiedział i zrobił to dwadzieścia minut przed siedemnastą...

Eugeniusz Korkosz

MYŚLI

Zbyt wyszukana scenografia może wypaczyć sens sztuki życia.

Po uzyskaniu kredytu zaufania nie zapominajmy o żyrantach.

Życie częściej ustawia przed nami pomost do dźwigania ciężarów, niż podium dla zwycięzców.

Spoglądajmy uważnie na ręce tych, którzy na wszystko patrzą przez palce.

Postawa życiowa uzależniona jest również od tego, na czym się stoi.

RADA PIERWSZORZĘDNA

Nie pchaj się z mądrością poza kolejnością.

CZAS

Czas to pieniądz — tylko bieda, że o dłożył go się nie da.

Jerzy Leszczyński

Fraszki

KTO GROŹNIEJSZY

Mniej groźny bogacz jest niż biedaczek, który koniecznie chce być bogaczem.

NIE OCZEKUJ...

Nie oczekuj rzeczy dużej, jeśli nie chcesz czekać długo.

NIE KAŻDY...

Nie każdy, co z byka spadł, sam na tego byka wsiadł.



Paul Vassar

Walka z płynnością kadr

Na miejskiej naradzie poświęconej problemowi walki z płynnością kadr ogólne zainteresowanie wzbudziło wystąpienie kierownika działu kadr Kombinatu Budowy Domów.

— Musimy przyznać samokrytycznie — powiedział towarzyszący kierownik — że płynność kadr w zakładach przemysłowych miasta stała się poważnym problemem przede wszystkim z powodu nieumiejętności właściwego postępowania z kadrami. Niedostateczna jest nasza walka o to, żeby każda jednostka siły roboczej czuła się w pracy swojsko, jak u siebie w domu. A przecież, gdy człowiek siedzi na swoim posterunku pracy i jest otoczony troskliwą życzliwością całego kolektywu, który nie spuszcza z niego oczu, promieniejących ciepłem i tkiwłą czułością — w czym może się kapać jak we własnej wannie — to nie przyjdzie mu do głowy szukać sobie pracy gdzie indziej. Stąd wniosek: więcej i więcej ciepła, życzliwości i uprzejmości dla każdej pracującej jednostki.

Przytoczę przykład z własnej praktyki: Niedawno chciał się u nas zwolnić pewien malarz. Napisał podanie. Poprosiłem go jednak, żeby wstrzymał się ze zwolnieniem dwa dni,

a sam poszedłem od razu do brygadzysty, żeby naradzić się z nim, w jaki sposób zapobiec tej nieprzyjemnej historii. Zwymyślałem brygadzystę za to, że nie potrafi związać malarza z kolektywem. Nie jest to oczywiście łatwa sprawa. Ale trzeba się starać! Najlepszym sposobem jest osobisty udział w przedsięwzięciach, które zaspokajają duchowe potrzeby i zamyłowania zwalniającego się członka kolektywu. Czy brygadzysta zrobił coś w tym kierunku?

Odpowiedział mi, że ów zwalniający się miał tylko jedną pasję duchową — układał podczas pracy pasjanse. Od razu zaproponowałem brygadziście, żeby z braku czegoś lepszego, spróbował pograć z malarzem w karty.

Oczywiście, trzeba było pokonać niemałe trudności. Najpoważniejsza wynikała z tego, że brygadzysta umiał grać tylko w dumnia i malarz już po tygodniu zaczął się skarżyć, że znudziła mu się taka monotonna robota. Musiałem nauczyć brygadzystę gry w dziewiątkę. Ale w dziewiątkę lepiej się gra we czwórke, dlatego skierowałem dodatkowo do brygadysty cieślę i tynkarza. Dla dodania temu przedsięwzięciu bardziej pociągającego charakteru zaczęliśmy im wydawać — zakupowane z funduszu nagród — po

bulce i kilogramie pasztetowej, żeby mieli za kaskę do piwa. Picie piwa podczas pracy stanowi, oczywiście, naruszenie dyscypliny, ale umiarkowane ustępstwo od przepisów powinno być wybacalne, jeśli cel jest szlachetny. (Oklaski na sali).

— Na dodatek inicjatywa picia piwa nie wyszła od malarza, lecz od brygadzysty, który zaczął kaprysić i oświadczył, że gra w karty, nawet w interesie kolektywu, mierzi go i jako szanujący się człowiek może grać tylko pod dobrą datą. Co tu zresztą długo gadać! Kłopoty w stosunkach międzyludzkich zdarzają się zawsze. Trudności są zresztą po to, żeby je przezwyciężać. Krótko mówiąc, po dwóch tygodniach malarz znów przyszedł do wydziału kadr i odebrał swoje podanie.

— Nigdy i nigdzie od was nie odejdę — powiedział ze łzami w oczach. — Jestem członkiem kolektywu, kość z jego kości, krew z krwi, i na zawsze w nim pozostanę!

Powiedział jeszcze dużo przepelnionych wdzięcznością słów, ale muszę, niestety, przystać, że nie wszystko zrozumiałem, ponieważ język mu się bardzo płatał. Myślę, że z nadmiaru uczuć.

— Tak więc, towarzysze, osiągnęliśmy wspólnie zwycięstwo. Nawet niegodny postępek brygadzysty, cieśli i tynkarza nie zdoła go pomniejszyć. Wszyscy trzej poznajmyli beczelnie, że mają powyżej uszu zabawy z kadrami (chcieli zapewne powiedzieć „zabawy z kartami”, ale im język odmówił posłuszeństwa!) i złożyli podanie z prośbą o zwolnienie z powodu złego stanu zdrowia, a także dlatego, że w sąsiednim przedsiębiorstwie zaproponowano im pracę „zgodną z kwalifikacjami”.